Rok VI. Marzec 1900 r. Nr. 3.

# PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny

pod kierownictwem J. L. Popławskiego

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Koralnicka, 6.

## NASZ DEMOKRATYZM.

Niejednokrotnie zaznaczaliśmy wyraźnie lub nawet wyjaśnialiśmy obszernie istotę i charakter naszego demokratyzmu, wykazując zarazem, że w programie naszym kierunki narodowy i demokratyczny zlewają się w jedną organiczną całość. Uzasadnieniu teoretycznemu naszego demokratyzmu nie mogliśmy poświęcić wiele miejsca w piśmie i wydawnictwach, mających przedewszystkiem na widoku sprawy i zadania realne. Było to, zresztą, zdaniem naszem, zbyteczne, sformułowanie bowiem istoty i dążeń współczesnego demokratyzmu polskiego poprzednio już zostało dokonane. Ten kierunek polityczno-społeczny, który przedstawiamy, nie jest jakiemś nowem objawieniem najskuteczniejszego sposobu rozwiązania zagadnień politycznych i społecznych naszego życia narodowego, nie jest doktryną mniej więcej jednolitą, jak socyalizm współczesny lub nasz dawny demokratyzm rewolucyjny.

Z tym ostatnim utożsamiano nieraz — ze świadomością kłamstwa lub z dobrą ale niekrytyczną wiarą — nasz kierunek, wyprowadzano jego genealogię od „wersalskich dzieci“, od Towarzystwa demokratycznego, od Mierosławskiego i t. d. Nie mamy powodu wypierać się tej, w oczach naszych bądź co bądź zaszczytnej, paranteli, zaznaczamy jednak, że nasz demokratyzm ma charakter zupełnie odmienny. Jest on wynikiem głębokiej zmiany w stosunkach politycznych i społecznych, jaka w ciągu ostatnich lat trzydziestu nastąpiła, jest ujęciem i sformułowaniem tych dążeń, które w życiu narodowem świadomie lub bezwiednie pod wpływem tej zmiany stosunków wytwarzać się i ujawniać zaczęły już od lat kilkunastu. Nasz program demokratyczny nie jest jednolitym, ale w zasadniczych swych rysach jest jednym i tym samym na całym obszarze ziem polskich. To świadczy, że jest on rzetelnym wyrazem potrzeb, interesów i dążeń politycznych i społecznych, zupełnie zaś jedno-

litym być nie może, bo powstał i rozwijał się samodzielnie w różnych warunkach, bo przystosowuje się do tych warunków życia, do wymagań rzeczywistości.

Jednym z tych zasadniczych rysów wspólnych współczesnego demokratyzmu polskiego we wszystkich dzielnicach, we wszystkich stronnictwach i grupach, jest „dążenie do przekształcenia społeczeństwa na organizacyę samoistnych obywateli, decydujących świadomie o swoim losie". I nietylko świadomie ale i „swobodnie", swobodnie zaś nietylko w znaczeniu wolności zewnętrznej, formalnej, ale i wolności duchowej, wolności myśli, sądu, wyboru sposobów i dróg działania.

Program stronnictwa demokratyczno-narodowego streszcza istotę i charakter naszego demokratyzmu, którego główne podstawy niejednokrotnie były uprzednio możliwie ściśle określane i teoretycznie uzasadniane. „Opierając się na uznaniu faktu, iż dzięki postępowi oświaty [1]) odbywa się obecnie szybki rozwój samodzielności społecznej i politycznej ludu wespół z rozwojem świadomości narodowej, oraz uznając fakt ten za najważniejszy objaw naszego życia współczesnego i podstawę przyszłości, uważamy, iż dziś właśnie należy wszelkiemi siłami dążyć do tego, ażeby lud co rychlej wziął czynny i bezpośredni udział w życiu politycznem, w naszych dążeniach narodowych i we wszelkich sprawach społecznych, Równouprawnienie społeczne ludu jest dla nas niemniej ważnym celem, jak wzrost sił narodowych oraz uzyskanie odpowiednich warunków dla pełnego rozwoju narodowego życia, że zaś z przenikaniem świadomości społecznej i politycznej w masy ludowe idzie w parze narodowe ich uświadomienie, z ich udziałem zaś w sprawach publicznych wzrasta napięcie narodowego życia, przeto uważamy, iż w dzisiejszym układzie stosunków społecznych i politycznych interesy ogólne ludu są równoznaczne z interesami narodu. Stawiamy więc w społecznych dążeniach naszych na pierwszem miejscu interesy duchowe i materyalne warstw ludowych, podporządkowując im, gdzie tego potrzeba, interesy warstw innych".

To ostatnie zdanie wyraża istotę naszego demokratyzmu i zarazem różnicę jego od demokratyzmu dawnego. Hasłu „wszystko dla ludu przez lud" dajemy właściwie inne tylko sformułowanie,

---

[1]) Program, uwzględniający niemal wyłącznie stosunki w zaborze rosyjskim mówi tylko o wpływie postępów oświaty na rozwój świadomości politycznej i społecznej ludu, w innych jednak dzielnicach równie ważnym był wpływ zmiany w stosunkach prawno-państwowych.

ale w polityce, podobnie jak w nauce, należyte sformułowanie i uzasadnienie pewnej prawdy odegrywa rolę bardzo ważną.

Ta zasada „podporządkowania interesom ludu interesów innych warstw“ otrzymuje w programie naszym uzupełnienie, potrzebne ze względu na upowszechnione pojmowanie wyrazu lud, jako nazwy *par excellence* ludności wiejskiej.

„Przez lud rozumiemy wszystkie te warstwy społeczeństwa, które dotychczas skutkiem upośledzenia kulturalnego były usunięte od świadomego udziału w życiu narodowem i pozbawione wpływu na poprawienie swego bytu materyalnego i duchowego, pozbawione zdolności do samoistnej obrony swoich interesów. Nie uważamy, ażeby którakolwiek z klas ludowych była uprawniona do hegemonii nad resztą, ale, przeciwnie, pragniemy, żeby wszystkie rozwijały się samoistnie, zgodnie z duchem czasu, żeby każda wniosła w życie narodowe dążenia i aspiracye, będące naturalnym wytworem jej ustroju duchowego i warunków bytu.“ Innemi słowy, nazwa, „lud“ w naszem pojmowaniu obejmuje całość warstw pracujących w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, a więc nietylko włościan, drobnych właścicieli i robotników wiejskich, ale i najemnych robotników fabrycznych i rękodzielników i przedstawicieli wszelkich zawodów, nie wyłączając t. zw. zawodów inteligentnych, którym wyłącznie lub przeważnie praca osobista daje środki do życia.

Przytoczyliśmy powyższe ustępy nie dla tego, żeby zawierały one wyczerpującą charakterystykę naszego demokratyzmu, ale dlatego głównie, żeby uniknąć w dalszym ciągu wyjaśnień, przerywających tok wywodów.

Nie mamy bynajmniej zamiaru polemizować w tym artykule z zarzutami, z różnych stron nieraz podnoszonymi przeciw naszemu programowi demokratyczno-narodowemu i zwłaszcza przeciw naszemu pojmowaniu zadań współczesnego demokratyzmu polskiego w zakresie działalności praktycznej. Odpowiadanie szczegółowe na zarzuty zasadnicze przeciwników nie ma celu realnego, tymbardziej że zazwyczaj zła wiara jest aż nadto widoczną. Natomiast pożądanem jest zawsze wyjaśnienie sprawy tym, którzy nasze zdania lub postępowanie fałszywie sobie tłómaczą, którzy nie rozumieją naszego stanowiska w tym lub owym wypadku, lub nawet w stosunku do całej kategoryi objawów życia politycznego, względnie społecznego.

Takie wyjaśnienie jest tymbardziej koniecznem, że nieraz właśnie najfałszywiej wystąpienia nasze tłómaczą nie przeciwnicy polityczni, ale ci ludzie, którzy uważają się poniekąd za naszych

sojuszników politycznych, którym się wydaje, że są nam blizcy i idą równolegle z nami do jednego celu, chociaż w gruncie rzeczy są od nas dalsi, są nam bardziej obcy, niż wielu z tych, z którymi zacięcie walczymy. Wspólność, niektórych zresztą tylko, celów konkretnych, wspólność haseł, inaczej zresztą przez nich i przez nas pojmowanych, może łączyć ludzi w chwili stanowczego działania ale nie w robocie, systematycznie na długie lata rozłożonej i mającej w znacznej mierze charakter, że tak powiemy, wychowawczo-polityczny, mianowicie wytworzenie w społeczeństwie pewnego trybu myślenia politycznego i pewnych metod działalności praktycznej.

Nieproszeni lub narzucani nam przez przeciwników rzekomi sojusznicy więcej nam w opinii publicznej i w działalności naszej zaszkodzili, niż pomogli, i przeprowadzenie wyraźnej linii, odgraniczającej nas od nich, staje się z wielu względów sprawą konieczną i nawet pilną.

Mamy tu zwłaszcza na myśli starych i młodych przedstawicieli doktrynerstwa demokratycznego, głosicieli wielkich haseł, gorliwych stróżów niewzruszonych zasad politycznych i społecznych. Ludzie starzy, którzy od wielu lat kraju niewidzieli i nowych stosunków nie znają, zrozumieć nie mogą i nie chcą, czasem nawet ludzie, którzy w kraju mieszkają, ale w życiu czynnem narodu, w działalności politycznej i społecznej nie biorą udziału bezpośredniego, wreszcie młodzieńcy, przeważnie kształcący się zagranicą lub w Rosyi, którzy również o wymaganiach tej działalności, o jej warunkach realnych pojęcia nie mają — tworzą główny zastęp demokratów tego typu. Ani walczyć, ani polemizować z nimi, ani wogóle zajmować się nimi nie warto, pierwsi i drudzy wskutek warunków swego życia lub wskutek charakteru swej umysłowości tak w formalizmie demokratycznym skostnieli, że zmienić się nie mogą, ostatnich zaś samo życie wciąż zmienia, gdy w nie wchodzą i poznawać je zaczynają. Dla jednych i drugich, od praktyki politycznej oderwanych, głoszenie wielkich haseł i niewzruszonych zasad jest poniekąd potrzebą psychiczną, jest surogatem działalności politycznej i społecznej, do której już lub jeszcze nie są zdolni, surogatem, podtrzymującym w nich uczucia obywatelskie, zazwyczaj zresztą platoniczne.

Ale te hasła i zasady, które w sposób dogmatyczny głoszą, bałamucą opinię ogółu, nie mającego wyrobienia politycznego, a często nawet ją zniepra wiają, osłaniając niedołęztwo lub lenistwo obywatelskie. Mamy w społeczeństwie naszem legiony ludzi, którym

ideały patryotyczne i dogmaty demokratyczne nie pozwalają brać udziału w codziennej robocie politycznej i społecznej, bo ona tym ideałom i dogmatom nie odpowiada. Zbytecznem byłoby tłómaczenie, że wszelkie zasady i hasła są tylko formułami istniejących w danym czasie i w danych stosunkach interesów i dążeń politycznych i społecznych, że nie mają nigdy trwałej wartości, że z biegiem czasu i zmianą stosunków stają się pustymi dźwiękami, nie mającymi żadnej treści realnej lub, co gorsza, fałszywemi określeniami nowych objawów życia. Dla określenia charakteru naszego demokratyzmu dosyć będzie zaznaczyć, że my żadnych dogmatów, czy nazywają się one wiekuistemi prawdami, czy wyrazami praw przyrodzonych, czy pewnikami lub ostatnimi wynikami nauk politycznych i społecznych — nie uznajemy.

W naszem społeczeństwie, wskutek warunków, w jakich ono żyje, nagromadziło się więcej niż gdzieindziej takich haseł i zasad, nie mających dziś znaczenia realnego. A że w naszych dziejach porozbiorowych czynnym pierwiastkiem życia narodowego był demokratyzm ideowy, wszystkie te hasła i zasady mają piętno demokratyczne. Nie wycofane dotychczas z obiegu politycznego, zachowują one wartość nominalną i są poważną przeszkodą w wyrabianiu się myśli politycznej, w ocenianiu warunków realnych działalności praktycznej. Oczyszczenie dziedziny naszego życia politycznego i społecznego z tych czcigodnych zabytków, które jednak są przeszkadzającemi jego rozwojowi rupieciami, wydaje nam się sprawą bardzo ważną i pilną. W takiej robocie nie można się zbyt liczyć z uczuciami lub słabostkami, zasługującemi na poszanowanie. W piśmie naszem, poświęconem przeważnie oświetlaniu spraw bieżących, ubocznie tylko tą robotą zajmować się możemy, a nikt inny nie zajmuje się nią w należytej mierze, bo najradykalniejsze pod względem politycznym i społecznym żywioły grzęzną u nas w doktrynerstwie i dogmatyzmie.

To, cośmy powiedzieli, przyczynić się powinno do wyjaśnienia jednego z najczęstszych przeciw demokratyzmowi naszemu zarzutów, że przeniewierza się on nieraz zasadom postępowym i nie jest dość radykalnym ideowo. Postępowość i radykalizm nie są dla nas istotnie żadnemi kryteryami sądów o sprawach realnych, politycznych i społecznych. Jedynym sprawdzianem praktycznym w tych sprawach jest dla nas interes narodowy lub interes społeczny ludu. Możemy w pewnych wypadkach ten interes błędnie pojmować — to rzecz inna, ale ślepa wiara w dogmaty postępowe i radykalne nie da nam potrzebnego światła. Takie światło wytwo-

rzyć może tylko zupełna swoboda zdania i myśli, nie krępowana żadnemi ograniczeniami zasadowemi, nie skuta żadnymi dogmatami. *In dubiis libertas*, a któraż sprawa realna, któryż objaw życia zbiorowego, z tylu różnorodnych czynników złożony, nie nastręcza wątpliwości? I w polityce nieraz sąd błędny większą ma wartość niż sąd szablonowy. Rozprawiamy dużo o wolności politycznej i samodzielności społecznej, o gwarancyach formalnych, zabezpieczających jedną i drugą. Ale przedewszystkiem należy nauczyć społeczeństwo myśleć swobodnie i samodzielnie badać objawy życia realnego w tych dziedzinach. Tyrania ideowa dogmatów i szablonów krępująca swobodę myśli, jest bodaj nawet szkodliwsza, niż tyrania formalna, krępująca swobodę słowa i działania. Prawomyślność radykalna w istocie swej nie różni się niczem od prawomyślności klerykalnej. Powtarzanie bezmyślne formułek Marksa lub wszelkich innych, najbardziej postępowych i radykalnych pewników wiedzy politycznej i społecznej, tak samo ogłupia, jak powtarzanie formułek obrzędowych. Wciskanie zmiennych i nieskończenie różnorodnych objawów życia w nieruchome ramki „uproszczonego" pojmowania spraw politycznych i społecznych, stosowanie do tych objawów martwych przepisów doktryny jest taką samą zbrodnią przeciw duchowi ludzkiemu, przeciw jego swobodzie i samodzielności, jaką jest zmuszanie ludzi do wierzenia w pewne dogmaty religijne, do wykonywania pewnych obrzędów i t. d.

My nie boimy się swobody sądów, nie krępujemy różnicy zdań, a nawet sposobów działania praktycznego w sprawach politycznych i społecznych, nietylko tolerujemy rozmaitość przekonań i poglądów, ale po prostu nie chcemy wytwarzać stronnictwa zbyt jednolitego. Nasza solidarność polega na dążeniu chociażby różnemi drogami do wspólnego celu, „do jak najszerszego rozwoju sił narodowych, do postępu, prowadzącego za sobą pogłębienie treści i rozszerzenie zakresu życia narodowego", na uznaniu tej ogólnej zasady, raczej tej prawdy realnej, że w dobie dzisiejszej interesy ludu, w znaczeniu ogółu warstw pracujących, są równoznaczne z interesami narodu. Z tego dążenia wspólnego, z uznania tej prawdy, ze świadomego i żywego poczucia jedności i odrębności narodowej, ze zrozumienia tego faktu, że jako naród rośniemy wciąż w siłę i rozwijamy się, wynika zupełnie naturalnie jeżeli nie zupełna jedność to ścisła solidarność wewnętrzna działania, przekonań i poglądów, wynika nawet łączność formalna, która stronnictwo demokratyczno-narodowe zespala w realnej robocie politycznej i społecznej.

Ci wszyscy, którzy uznają wyżej zaznaczone podstawy naszego programu i podzielają zarazem nasze zdanie o potrzebie samodziel-

ności i swobody w ocenianiu objawów życia politycznego i społecznego, nie krępowanej żadną doktryną, żadnym dogmatem, zrozumieją łatwo, dla czego stanowisko nasze w wielu sprawach odbiega od szablonów postępowości, radykalizmu, humanitaryzmu i t. d., dla czego sądy nasze w wielu wypadkach sprzeciwiają się sądom, wygłaszanym przez ludzi, przyznających się również do zasad demokratycznych i zgadzających się na ogół na punkty praktyczne naszego programu, ale zasklepionych w rutynie pewnych form myślenia, pewnych doktryn, w formalizmie świętych haseł i zasad niewzruszonych, z których porobili sobie fetysze i bezmyślnie je wielbią.

W odpowiedzi na zarzut, że nasz demokratyzm nie jest dosyć albo nie zawsze jest postępowym i radykalnym, że przeniewierza się hasłom i zasadom, które rzekomo są dla niego obowiązującemi — zaznaczyć jeszcze trzeba z naciskiem, że inkryminowane nieraz sądy nasze i zdania dotyczą zazwyczaj realnych objawów życia politycznego i społecznego lub tylko pewnych stron jego i nie mają bynajmniej charakteru teoretycznego, zasadniczego, nie zawierają ogólnego poglądu naszego na całokształt danej sprawy, ale oceniają tylko wypadki konkretne.

Pamiętać o tem trzeba, przechodząc do drugiej kategoryi zarzutów przeciw naszemu demokratyzmowi, mianowicie przeciw naszemu stanowisku wobec sprawy narodowej ruskiej i litewskiej. Oskarzano nas nawet o dążności bismarkowskie w stosunku do Rusinów i Litwinów, o odmawianie im prawa do samodzielnego bytu narodowego, do rozwijania swej indywidualności.

Ani w programie stronnictwa demokratyczno-narodowego, ani w artykułach ***Przeglądu wszechpolskiego***, ani w innych wydawnictwach naszych nie występowaliśmy n i g d y przeciw dążeniom narodowym Rusinów i Litwinów, mającym na celu utrwalenie i rozwój ich bytu narodowego lub nawet odrębności politycznej. Ocenialiśmy tylko, ze stanowiska interesów narodowych polskich, pewne objawy tych dążeń i wykazywaliśmy nieraz ich szkodliwość przedewszystkiem dla naszej sprawy lub, ubocznie, nawet dla sprawy czy to ruskiej czy litewskiej. W naszych oświadczeniach programowych nie poruszaliśmy nigdy stosunku sprawy polskiej do tych narodowości, nie dla tego, żebyśmy ich dążenia lekceważyli, żebyśmy ich prawa zaprzeczali, ale dla tego, że w dzisiejszych warunkach uważamy pozostawienie Litwinów a zwłaszcza Rusinów i niemieszanie się do ich spraw za najkorzystniejsze dla Polaków. W jedynej dzielnicy, w Galicyi, gdzie Polacy mogą wpływać na uregulowanie

stosunku dwóch narodowości, akcya ugodowa, lekkomyślnie podjęta, naraziła nas na straty poważne i zamiast złagodzić zaostrzyła stosunek Rusinów do nas. Polityka realna w chwili dzisiejszej polegać powinna, zdaniem naszem, na tem, żebyśmy pozostawili Rusinom i Litwinom zupełną swobodę działania i nie wchodzili w rokowania formalne, które wobec wzmożenia się prądów separatystycznych, nie mogą dać na razie rezultatu pożądanego, ale żebyśmy natomiast gorliwie i bezwzględnie bronili praw naszych i interesów narodowych, nie żądając niczego od nich i nie narzucając się ze swemi propozycyami. Gdybyśmy konsekwentnie na tem stanowisku polityki realnej stali i mocno je obwarowali, gdyby obie strony wyjaśniły sobie siły swoje i zależność wzajemną, nie jakieś sentymentalne, nieokreślone pojednanie ale kompromis rozumny, na niewątpliwie istniejącej wzajemności interesów oparty, mógłby w stosunkowo blizkiej przyszłości nastąpić, zwłaszcza pomiędzy Litwinami i Polakami.

Zwalczamy jednak i zwalczać będziemy uproszczone, mechaniczne pojmowanie spraw narodowościowych, rozpowszechnione u nas, zwłaszcza w kołach radykalnych. Pogląd mechaniczny, wykazujący konieczność przeprowadzania granic i tworzenia terytoryów etnograficznych, nie liczy się z faktami rzeczywistości i pod pozorami humanitaryzmu i wolności jest uświęceniem brutalnego pogwałcenia indywidualności narodowej. Fakt urodzenia się lub zamieszkiwania na pewnym terytoryum i pochodzenia plemiennego nie może dycydować nietylko o narodowości tysięcy i milionów ludzi, ale nawet pojedyńczych osób. Wieki wspólnego życia politycznego, wspólność kultury duchowej i materyalnej, wspólność interesów i t. d. więcej stokroć znaczą, niż wspólność pochodzenia lub nawet języka. Ten pogląd rzekomo humanitarny jest tylko odwrotną stroną innego, centralistycznego, żądającego w imię interesów państwa lub interesów kultury — co się sprowadza zawsze do interesów większości — zniesienia różnic i odrębności narodowych. Istota obu poglądów jest jednakową, tylko drugi jest bodaj bardziej uzasadnionym, bardziej, powiedzielibyśmy, postępowym. Jakkolwiek niedorzeczne i niesprawiedliwe jest żądanie, żeby Polacy w zaborze pruskim zostali Niemcami w imię interesów wielkiego państwa i cywilizacyi, to jednak więcej jest w niem sensu i mniej barbarzyńskiej brutalności, niż w żądaniu, żeby Polacy na Litwie i Rusi zostawali Litwinami lub Rusinami dlatego tylko, że większość mieszkańców tych krajów mówi po litewsku lub po rusku. To są właśnie poglądy bismarkowskie, to jest właśnie kult brutalnej siły — wszystko jedno, czy

nazywa się wszechwładzą państwa czy wszechwładzą większości narodowej.

Zgodnie z poglądem naszym, że niepowinniśmy wcale mieszać się do spraw wewnętrznych Litwinów i Rusinów i występować z projektami uregulowania naszego stosunku do tych narodowości, bo w warunkach obecnych kompromis realny jest niemożliwym, dorywczo tylko mówimy o poszczególnych objawach tych stosunków o ile dotyczą one interesów narodowości polskiej. Sądy nasze o tych objawach są zawsze i niczem innem być nie mogą, jak tylko sądami strony zainteresowanej. Wyznajemy to otwarcie i nie rościmy sobie pretensyi, by Litwini lub Rusini sądy te uwzględniali i stosowali do nich swoje postępowanie. Jesteśmy jak gdyby adwokatami jednej strony w sporze politycznym i interesów jej bronimy bezwzględnie, bo to jest naszym obowiązkiem. Nie twierdzimy bynajmniej, że tylko interesy naszego narodu są uprawnione, ale sądzimy, że przedewszystkiem strony, wiodące spór, powinny określić swoje żądania i pretensye, a wtedy dopiero będzie można myśleć o kompromisie, lub, gdy ten nie dojdzie do skutku, o innem rozstrzygnięciu sprawy.

Humanitarni obrońcy praw i radykalni mściciele nieraz urojonych krzywd Litwinów i Rusinów są właściwymi twórcami separatyzmu litewskiego i ruskiego. Dosyć powszechnym, a zazwyczaj bezzwiednym jest u nas taki samobójczy radykalizm, który polega jedynie na zohydzeniu przeszłości i teraźniejszości narodowej, na jakiejś chorobliwej nienawiści do wszystkiego, co polskie, na jakiemś ekspiacyjnem opluwaniu godności swego narodu i obniżaniu jego wartości, na szkodzeniu jego interesom i zaprzeczaniu jego praw. Tacy właśnie z pośród nas separatyzm litewski i ruski niebacznie zaognili i dotychczas rozdmuchują. Z Rusinami samymi, a zwłaszcza z Litwinami łatwiej byłoby się nam porozumieć i polityka, którą zalecamy, bezpośrednie porozumienie się najprędzej sprowadzi, usuwając szkodliwych doktrynerów waśni narodowych.

Inni znowu separatyzm litewski i ruski pośrednio podniecają w naiwnej rachubie patryotycznej, że Rosyi trudniej walczyć z trzema separatyzmami, niż z jednym polskim. Ta naiwna rachuba okazuje się w praktyce zawodną. Niebezpieczniejszym dla Rosyi był jeden separatyzm polski, obejmujący zarazem dążenia narodowe Rusinów i Litwinów, niż trzy separatyzmy — polski, ruski i litewski — z których dwa ostatnie rząd rosyjski może podszczuwać przeciw pierwszemu i w ten sposób część energii jego zużywać. Patryoci tegoż autoramentu występują również z argumentem etyczno-poli-

tycznym, że nam Polakom nie wypada krzywdzić innych narodowości i odmawiać im praw należnych. Niewątpliwie, nietylko nam Polakom ale nikomu nikogo krzywdzić nie wypada. Ale biorąc rzeczy realnie, czy wypadało w Galicyi dawać Rusinom to, czego nawet nie żądali i co dla nas okazało się szkodliwem, czy wypadało np. zamiast zaprowadzenia obowiązkowej nauki języka ruskiego stwarzać gimnazya ruskie, których nawet wielu patryotów Rusinów nie życzyło sobie, a które wychowują młodzież ruską w zupełnem odosobnieniu od wpływów kultury polskiej i niemal zmuszają do korzystania z utworów literatury rosyjskiej. Czy należało popierać ***per fas et nefas*** narodowców ruskich przeciw t. zw. moskalofilom, którzy z pewnością wyrzeklíby się zbyt daleko idących sympatyi rosyjskich, gdyby im za to wypłacono odpowiednie odszkodowanie w walucie austryackiej i w posadach urzędowych. Czy należy wytwarzać sztucznie wśród Białorusinów dążenie do odrębności narodowej, którego niema, pisać książeczki w ich narzeczu, kiedy oni sami żądają polskich? Odmawiać komuś zaspokojenia potrzeb, które już uświadomił sobie, byłoby niesprawiedliwością, ale wytwarzać sztucznie te potrzeby a potem wszelkimi sposobami świadomość ich rozbudzać, szafować nieopatrznie a hojnie dorobkiem lub zdobyczami przeszłych pokoleń i uszczuplać dziedzictwo przyszłych — jest karygodną lekkomyślnością, jest grzechem przeciw naturze, przeciw instyktowi zachowawczemu. To nie jest polityka ludzka i mądra, ale samolubna zachcianka fantastów szlacheckich, wytwór znieprawionych mózgów i zwyrodnionych instynktów, gospodarka bezmyślna i marnotrawna, i lud polski, zdrowy i trzeźwy, gospodarny i oszczędny, na cudze nie chciwy ale o swoje dbały, nigdy takiej polityki narzucić sobie nie pozwoli.

Rzecz ciekawa, że ci właśnie radykalni krytycy, którym nasze stanowisko w sprawie litewskiej i ruskiej nie podoba się, pobłażliwie pomijają milczeniem artykuły w pismach socyalistycznych i wystąpienia tego stronnictwa, mające nieraz charakter wyraźnie centralistyczny i będące jak gdyby echem poglądów demokratów radykalnych ze szkoły Mierosławskiego. My na tem stanowisku nie stoimy, ale że nazywamy rzeczy po imieniu, że traktujemy sprawę realnie i nie upiększamy pięknie brzmiącemi hasłami zdań naszych, wydają się one twardemi i szorstkiemi, rażącemi uczucia humanitarne i mącącemi miłą harmonię kłamstw umówionych.

W artykule następnym wyjaśnimy nieraz opacznie tłómaczony i rozmyślnie fałszywie przedstawiany stosunek nasz do sprawy robotniczej i stronnictwa socyalistycznego.

# PLAN ROZBIORU AUSTRYI.

Sprawa rozbioru Austryi niejednokrotnie w pismach i broszurach politycznych była poruszaną i roztrząsaną nietylko w postaci planów fantastycznych różnego rodzaju dyplomatów-amatorów. Niektóre artykuły i broszury w tej sprawie uważać należy niewątpliwie za *balons d' essai* za próby wybadania i przygotowania opinii publicznej. Ten charakter mają publikacye o przyszłych losach Austryi, wydawane widocznie z natchnienia dyplomacyi rosyjskiej, której rysem znamiennym jest cierpliwe, powolne, systematyczne przeprowadzanie swoich zamysłów. Rosya w każdej niemal sprawie międzynarodowej prowadzi politykę dwojaką: jedną urzędową, rachującą się do czasu z formami przyzwoitości dyplomatycznej, drugą «ochotniczą», będącą niby to wyrazem opinii pewnych tylko kół społeczeństwa, ale w rzeczywistości stosującą się ściśle do wskazań pół-urzędowych. Najwyraźniej w sprawie wschodniej, ale nietylko w niej ujawnia się ta dwulicowość polityki rosyjskiej.

Są zresztą dowody, że nawet dyplomacya rosyjska sprawą przyszłego rozbioru Austryi zajmowała się nieraz i to już od dość dawna niemal od wojny krymskiej, że ta sprawa była przedmiotem nie rokowań wprawdzie, ale przedmiotem wymiany myśli między gabinetem petersburskim a paryskim za Napoleona III już w epoce, poprzedzającej powstanie 1863 r. oraz gabinetem berlińskim w czasach późniejszych. Ma się rozumieć, była to niewinna «wymiana myśli» w formie przypuszczeń, przewidywań pewnych ewentualności. Sprawa jeszcze nie dojrzała do traktowania jej, jako propozycyi realnej. Rzecz ciekawa, że właśnie kombinacya polityczna, mająca na celu częściowy rozbiór Austryi, była argumentem, który w otoczeniu Aleksandra II przeważył szalę na korzyść polityki pojednawczej względem Polaków i planów Wielopolskiego. Ustępstwa, dane wówczas Polakom miały na celu nietylko zjednanie ich, ale i przyciągnięcie Czechów i innych Słowian austryackich. Powstanie 1863 zmusiło Rosyę do zaniechania a raczej odroczenia zamysłów zaborczych, tymbardziej że poróżniło ją z Francyą, w plan ówczesny wtajemniczoną. Co więcej, następstwa powstania dały Austryi broń przeciw Rosyi, z której, chociaż nieumiejętnie i niezręcznie, korzystała jednak w odpowiednich chwilach

Nie jest bynajmniej fantastycznem wyrażone nie pamiętam przez kogo przypuszczenie, że najnowsza próba polityki ugodowej w Królestwie stała w związku z zamysłami dyplomacyi rosyjskiej względem Austryi. Zasługuje zwłaszcza na uwagę zbieżność akcyi ugodowej w Warszawie z agitacyą rozkładową w Wiedniu i wogóle w monarchii austryackiej, agitacyą, skierowaną przeciw rządom Badeniego, który — słusznie czy

niesłusznie — uchodził za przedstawiciela polityki wyraźnie antyrosyjskiej, mówiono nawet, że zgodził się stanąć na czele gabinetu jedynie w przewidywaniu wojny z Rosyą. A nikt chyba poważnie w to nie wierzy, że rozporządzenia językowe dla Czech wywołały to ostre przesilenie w stosunkach wewnętrznych Austryi, którego nie udało się dotychczas usunąć, ten rozstrój, który wciąż wzrasta.

Były, zdaje się, próby jeżeli nie zjednania to wybadania polityków galicyjskich jakby się na sprawę ewentualnego rozbioru Austryi zapatrywali. Taki charakter miała misya p. Gringmutha, redaktora *Moskowskich Wiedomosti.* Ma się rozumieć, półurzędowi agenci rosyjscy prowadzili rzecz bardzo ostrożnie, żadnych propozycyi mniej więcej określonych nie stawiali, badali tylko grunt. Faktem jest jednak, niejednokrotnie zaznaczonym, że od paru lat zauważyć można w kołach inteligencyi galicyjskiej i mieszczaństwa nie powiemy ciążenie ku Rosyi, ale jakby pogodzenie się z koniecznością i wmawianie w siebie, że przyłączenie Galicyi do państwa rosyjskiego jest nieuniknionem a nie byłoby dla kraju tak szkodliwem, jak dawniej twierdzono. Pisma socyalistyczne kilkakrotnie podkreślały nawet objawy moskalofilstwa wśród mieszczaństwa galicyjskiego. Niewątpliwie istnieje również, zwłaszcza wśród ludu wiejskiego i drobnego mieszczaństwa propaganda moskalofilska, której jawnym i coraz bardziej zuchwałym przedstawicielem jest ks. Stojałowski. Agenci jego wprost głoszą, że wkrótce »przyjdzie Moskal i będzie grunta rozdawać« tym, którzy za księdzem prałatem idą.

Wypadki, w znacznej mierze nieprzewidziane, zwróciły w ostatnich czasach uwagę dyplomacyi rosyjskiej na sprawy dalekiego Wschodu. To tłómaczy zaniechanie na razie energiczniejszej agitacyi w Austryi i na półwyspie bałkańskim. Dyplomacya petersburska doprowadziła nawet do skutku porozumienie przyjacielskie w sprawach bałkańskich pomiędzy Rosyą i Austryą, zapewne w myśl charakterystycznego przysłowia mongolskiego — »najłatwiej oszukać dobrego przyjaciela«. To porozumienie uchodzi za dowód zdolności dyplomatycznych hr. Gołuchowskiego, który...' nie jest oryentalistą i nie zna się na przysłowiach mongolskich.

Ale polityka rosyjska, niezwykle cierpliwa i konsenkwentna, nigdy planów swych się nie wyrzeka. Nawet gdy sfery urzędowe zdawało by się stanowczo od pewnych zamiarów odstępują, nie porzucają ich, lecz przekazują czasowo agitacyi prywatnej, która w Rosyi zawsze jest półurzędową. Ta agitacya półurzędowa wierniej przedstawia tradycyjną politykę rosyjską, niż urzędowa dyplomacya. Ona wykonywa całą robotę przygotowawczą, ona kreśli plany, które polityka rządu w sposobnej chwili wykonywa.

W ostatnich czasach zauważono znowu znaczne ożywienie agitacyi rosyjskiej na półwyspie bałkańskim.

Od czasu do czasu zjawiają się nawet alarmujące pogłoski. Nie sądzimy, żeby Rosya uważała już chwilę dzisiejszą za właściwą do czynnego wystąpienia, To są alarmy fałszywe, umyślnie może urządzane dla bałamucenia stron zainteresowanych, dla odwrócenia ich uwagi od od roboty podziemnej, coraz dalej posuwającej podkopy i zakładającej miny.

Mała broszurka francuska, wydana niedawno*), rzuca pewne światło na plany rosyjskie rozbioru Austryi. Takie wynurzenia półurzędowych dyplomatów zasługują na szczególną uwagę, mają bowiem pośrednio na celu przygotowanie opinii publicznej w Europie. Krytykują one zazwyczaj, nieraz nawet ostro, politykę zagraniczną rządu rosyjskiego, w rzeczywistości zaś służą jej widokom, wygłaszając to, czego dyplomacya powiedzieć nie może, do czego się nie przyznaje. Broszura, o której mówimy, ma charakter prywatny, właściwymi jednak jej autorami *ut fama fert*, są przedstawiciel Rosyi w Cetynii i konsul w Cattaro w Dalmacyi. Cała gromada publicystów francuskich, mniej lub więcej wybitnych, w duchu polityki rosyjskiej pisze o sprawach bałkańskich i austryackich. Wszyscy, nie wyłączając głośnego p. L. Légera są właściwie agentami rosyjskimi, piszącymi według danych im wskazówek. Najwyraźniej występuje w tej roli p. Chartes Loiseau, autor znanej książki *Le Balkan slave et la crise autrichienne*. Broszura, o której mówimy, została podobno przez niego w znacznej części napisaną.

Broszura jasno i otwarcie stawia sprawę rozbioru Austryi, nie wdając się nawet w motywowanie, nie powiem już słuszności, ale konieczności tego faktu, »Los Austro-Węgier jest nierozdzielny z losem Turcyi«, orzeka dogmatycznie p. Gorłow- »w chwili kiedy Turcy przeniosą się do Azyi, rozpadnięcie się Austryi stanie się koniecznem«.

Są politycy, mówi, którzy twierdzą, że Austrya jest potrzebną. O dawnej Austryi można to było powiedzieć, ale dzisiejsza... Zapewne, w tem miejscu w Europie coś być musi, dodaje łaskawie. Turcya jednak istnieć nie powinna, bo jej istnienie jest hańbą dla cywilizacyi. A jeżeli wypędzenie Turków obali chwiejącą się budowę Austryi — tym gorzej dla niej.

»Dla wielu ludzi ta *transformacya* — nie chodzi bowiem koniecznie o zniknięcie — wielkiego państwa europejskiego, jest perspektywą straszną«. Autora rozbiór Austryi nie przeraża, na miejscu jej powstaną państewka, które będą dalszą fazą rozwoju narodowości istniejących. Naturalnie, przy tem »zruszeniu« Europy wschodniej Rosya i Niemcy

*) *La Question d' Orient au vingtième siècle*, por. V. de Gorloff. Nice.

*muszą* być powiększone. »Rosya potrzebuje Bosforu« bo nie może oddać nikomu kluczów do swego domu. Oprócz Konstantynopola z odpowiedniem terytoryum po obu stronach cieśniny bosforskiej należyć powinny do niej ziemie austryackie z ludnością rusińską, bo »wieśniak z pod Lwowa nie różni się od wieśniaka z pod Kijowa«. Jest to argument zupełnie wystarczający.

Niemcy muszą zabrać ziemie niemieckie a dla zaokrąglenia granicy nawet niektóre okręgi czeskie, no i port na Adryatyku - Tryest. Słowianie i Włosi powinni dobrowolni zgodzić się na to ustępstwo.

Gdyby Niemcy nie chciały zgodzić się na rozbiór Austryi, trzeba zniewolić ich do tej kombinacyi wojną, autor sądzi jednak, że się zgodzą

Nie trzeba dodawać, że, zdaniem p. Gorłowa, politykę europejską w sprawie wschodniej cechują: »samolubstwo zawiść, chciwość i cynizm«. Jedynie Rosya wykazuje w polityce swej w tej sprawie »uczucia humanitarne i chrześcijańskie«, jedynie Rosya szanuje niezależność i odrębność innych narodów, o czem wymownie świadczą plany i argumentacya autora broszury.

Mapa, dołączona do broszury, przedstawia dobitnie projekt podziału Austryi i Turcyi. Rosya bierze lwią część Galicyi, północną część Bukowiny i spory kawał północno-wschodnich Węgier. Niemcy wezmą znaczną część Czech i Moraw, konieczną dla zaokrąglenia granicy, właściwą Austryę, Tyrol, Salzburg, Styryę i wązki pas terytoryum, łączący Tryest z ich posiadłościami nowemi. Włochom dostanie się część terytoryum na zachód od Tryestu i Tyrol południowy. Francya otrzyma od Niemiec odpowiednie wynagrodzenie terytoryalne, może też, jeśli zechce zabrać Belgię.

Z okrojonych Czech, Morawii, Slązka i zachodniej Galicyi ma być utworzone państwo północno-słowiańskie, Rosya bowiem nie życzy sobie powiększać znacznie liczby poddanych polskich. Węgry stracą południowe prowincye serbskie, oraz Siedmiogród i komitaty rumuńskie, które będą przyłączone do Rumunii. Z Kroacyi, Pogranicza, Banatu, Istryi, Dalmacyi, Serbii, Czarnogórza, Bośnii i t. d. będzie utworzona Wielka Serbia, a raczej Wielka Czarnogóra, bo osławiony książę Nikita jest inspiratorem tego planu. Bułgarya weźmie Macedonię, Grecya. Tessalię i Albanię. »Szanująca niezależność drobnych narodów« Rosya nie może doprowadzać do ostateczności Madziarów, więc oddaje im na pastwę Słowaków.

Te nowe państwa nie byłyby również jednolicie narodowemi. Zdaniem autora tylko ludzie »mało świadomi rzeczy« przywiązują wagę do różnic między Słoweńcami, Serbami. Kroatami i t. d. Chociaż polityka

rosyjska chce niby to kwestyę wschodnią *regler d' après les nationalités*, łączenie Słowaków z Madziarami, Polaków z Czechami, Rumunów z Madziarami i Niemcami siedmiogrodzkimi wydaje się autorowi broszury łatwem i naturalnem. Przecie w Rosyi w jednej i tej samej gubernii mieszkają np. razem Tatarzy, Czuwasze, Czeremisy i Wotiacy.

Wspaniałomyślny projektodawca pozwala łączyć się tym państewkom po dwa lub trzy, jeżeli tego zapragną. Nie ma nic przecjw temu. żeby nawet dynastya habsburska na nowych tronach zasiadła, chociaż wolałby, żeby Wielka Serbia połączyła się z Wielką Bułgaryą pod berłem domu czarnogórskiego. Rosya chętnie widziałaby — powiada — na tronie zaprzyjaźnionej z nią i z Francyą Austryi federalistycznej cesarza Franciszka Józefa. Ale, dodaje zaraz. sprzymierzać się należy tylko z silnymi. »Przymierze z Niemcami na koszt Austryi wydaje się praktyczniejszem... Można *porozumiewać się* z Austryą, ale ostateczne uregulowanie sprawy odbędzie się między Rosyą a Niemcami«.

»Sprawa wschodnia-powiada p. Malkazouny, autor książki *Le Panslavisme et la Question d' Orient*, nie należy do tych zagadnień, które dyplomacya może rozstrzygnąć za pomocą porozumień się i traktatów. Za wiele interesów w grę wchodzi, za wiele jest współzawodnictw i tylko miecz może wykreślić krwawemi liniami część, jaką każdy powinien dostać przy podziale ogólnym«. »Niewątpliwie — dodaje autor broszury, ale i rola dyplomacyi w tej sprawie jest niezmiernie ważną«. »Niemcy są praktyczni« pociesza się dalej i zapewnia. że niejednokrotnie probowali porozumieć się z Rosyą na rachunek Austryi.

Istotnie, Niemcy są praktyczni, a tego rodzaju porozumienia się i »działy polubowne« leżą w tradycyi państwowej zarówno Prus, jak Rosyi. Nic to nie znaczy, że cesarstwo niemieckie jest dziś w sojuszu z Austryą — przecie Prusy były w ściślejszem przymierzu z Polską na rok przed drugim jej rozbiorem...

Rozebrawszy Turcyę i Austryę, p. Gorłow popuszcza wodze fantazyi poetycznej i widzi »Europę zbratanąć, tworzącą Stany Zjednoczone«, sprzymierzone przeciw Anglii. Anglo-saksonizm — woła — jest wspólnym wrogiem Niemiec, Rosyi i Francyi. »Humanitarna i chrześcijańska« polityka Rosyi i Niemiec, nasyconych obfitym łupem, stoczy wtedy bój zwycięzki z »samolubstwem, zawiścią, chciwością i cynizmem« polityki angielskiej.

Broszura, o której mówimy, jest głupią i naiwną, ale jest to głupota chytra, naiwność niedźwiedzia, które i w zapasach politycznych nieraz zwyciężają. Plan rozbioru Austryi, nakreślony przez p. Gorłowa, jest w szczegółach niedorzeczny, ale wiernie przedstawia w ogólnych zarysach dążenia i cele polityki rosyjskiej, daje dokładne pojęcie o jej tajemnej robocie.

Czytaliśmy niedawno zdanie, że wszelkie tego rodzaju projekty rozbioru Austryi są licytowaniem skóry na niedźwiedziu. Należy jednak przypomnieć, że i projekty rozbioru Polski, które zjawiały sie na długo przed pierwszem ich urzeczywistnieniem, wydawały się zapewne współczesnym śmiesznemi przechwałkami.

W położeniu dzisiejszem Austryi i w stanie Polski w połowie XVIII wieku dostrzedz można kilka rysów wspólnych. Na jeden z nich zwrócić należy szczególną uwagę — na nierozumienie niebezpieczeństwa, grożącego państwu wskutek rozstroju wewnętrznego. Ani w Polsce ówczesnej, ani w Austryi dzisiejszej nie było i niema rozstroju społecznego we właściwem znaczeniu tego wyrazu, ale był tam i jest tutaj niemal zupełny zanik zmysłu państwowego, w Austryi tym groźniejszy, że jest ona pod względem narodowym konglomaratem, z różnorodnych złożonym żywiołów. Obrońcy urzędowi i dobrowolni ładu i porządku widzą tylko niebezpieczeństwo agitacyi wewnętrznej, a nie dostrzegają daleko groźniejszej roboty żywiołów odśrodkowych, nie dostrzegają coraz wyraźniejszejszych znamion gnicia i próchnienia podstaw zewnętrznej budowy państwowej. Rządy we właściwem tego słowa znaczeniu, sprawują w Austryi przeważnie Niemcy, a zdawałoby się nieraz, że w mundurach biurokratów niemieckich siedzą szlachcice polscy z połowy XVIII wieku. Zwłaszcza w polityce zagranicznej, którą dziś zresztą kieruje potomek tych szlachciców, podobieństwo jest bardzo widocznem. »Alianci« pruski i rosyjski gospodarują w Austryi nie tak wprawdzie zuchwale jak niegdyś w Polsce, ale to przecie dopiero początek ich roboty.

Zaznaczyliśmy poprzednio, że właściwymi autorami a raczej inspiratorami broszury, o której piszemy, są przedstawiciel Rosyi w Cetynii i konsul w Cattaro. W południowo-wschodnim kącie Austryi agenci rosyjscy rządzą coraz śmielej, a dzieją się tam podobno rzeczy, w które trudno uwierzyć. Powiadają np. że przedstawiciel Austryi w Cetynii, p. Kuczyński, który śmiało i zręcznie walczył z intrygami rosyjskiemi, został przeniesiony do Rio-Janeiro, wprawdzie nie na żądanie Rosyi, bo takich żądań jeszcze stawić nie ośmiela się, ale w skutek jej tajemnych wpływów. Powiadają, że wysoki dygnitarz austryacki na południo-wschodzie monarchii ma żonę prawosławną Serbkę, wychowaną w Petersburgu i odwiedzającą przynajmniej raz do roku stolicę nad Newą, gdzie ta polityczna dama otrzymuje odpowiednie poufne instrukcye. Wiadomo nam wreszcie — i to już nie na podstawie *on dit*, ale z dobrego, zupełnie wiarogodnego źródła — że książe Nikita prowadzi dokładny spis imienny wszystkich urzędników austryackich w Bośnii i Dalmacyi. z adnotacyami, który z nich »zasługuje na zaufanie«. W tym spisie specyalnie są odznaczeni urzędnicy, którzy na wypadek zajęcia

Bosnii i Dalmacyi mogą być pozostawieni na urzędach.. I oto znów »powiadają«, że urzędnicy, źle notowani u księcia Nikity i agentów rosyjskich nie cieszą się również względami przedstawicieli władz austryackich i czasem nawet są usuwani lub przenoszeni do innych krajów.

Może w tem, co ludzie, znający stosunki miejscowe, mówią, jest dużo przesady, ale jest niewątpliwie i część prawdy. A ta część wystarcza do wydania bardzo pesymistycznego sądu o swiadomości interesów państwowych w polityce austryackiej i o sprawności mechanizmu państwowego. Brak tej swiadomości jest groźniejszem i pewniejszem znamieniem rozstroju, niż istnienie najbardziej nawet skrajnych prądów politycznych i społecznych. Walki wewnętrzne nigdy nie spowodowały upadku państwa, ale zanik zmysłu politycznego, brak wiary w swe siły i brak godności, apatya i niedołęztwo, zawsze ospałe były tego upadku zwiastunami.

---

## *POLITYKA I HISTORYA.*

II.

Nie jest to rzeczą zbyteczną mieć przed sobą w każdej chwili w każdej sytuacyi jasno i wyraźnie określone zagadnienie polityki geograficznej danego narodu. W żądanin tem mieści się tyle wymagań znajomości prądów dziejowych, położenia międzynarodowgo, potrzeb i dążeń własnego społeczeństwa, że nie dziwi mnie calkowite prawie zapoznanie, a co gorsza obojętność ogółu wobec tego zagadnienia. Unaocznijmy więc sobie to pytanie.

Nikt nie zaprzeczy, iż punktem ciężkości w walce naszej zarówno z żywiołem germańskim jak i moskiewskim jest ziemia. Zarówno prawa, zabraniające nabywania majątków ziemskich na Litwie, jak i fundusz kolonizacyjny w Poznańskiem są to środki do wywłaszczenia i do wyparcia żywiołu polskiego z dawno zajmowanych siedzib. Środki te co do swego ducha wewnętrznego w niczem nie ustępują przymusowemu przesiedlaniu ludów podbitych, praktykowanemu przez monarchie despotyczne Wschodu w starożytności naprzykład przez Assyryjczyków. Wiek XIX ubrał ten sam duch w odmienną szatę. Nawet najwęższy i najciaśniejszy program narodowy polski musi objąć zadanie obrony ziemi, jakby odparcia najeźdźców od granic własnego społeczeństwa.

Pokazuje się więc, że nawet najprymitywniejsza polityka narodowa musi się liczyć z sytuacyą geograficzną i, jeśli nie chce rozszerzać swego wpływu poza granice osiedlenia geograficznego, musi przynajmniej stawiać zaporę kurczeniu się ziemi. Obrona własności ziemskiej, wspieranie żywiołu polskiego na kresach są to rzeczy ważne i konieczne. Ale pro-

gram, zamykający się tylko w tych granicach, jest zaszczupły. Nie wypływa on wprost z polityki geograficznej, ale raczej należy do walki szczepowej, która ma o wiele słabsze znaczenie. O wytępieniu jednego szczepu przez drugi najzagorzalsi nawet fanatycy walk narodowościowych na seryo już dzisiaj nie marzą. My również nie możemy zacieśnić naszego programu politycznego do odrębności szczepowej, bo naprzód, wziąwszy najgorszą ewentualność — zupełną zagładę naszej narodowości jeszcze szczepowe właściwości powstałyby w tym zlewku narodowym, czy to moskiewsko czy germańsko-polskim, na długie wieki, a powtóre prądy niemczenia jak i ruszczenia mocarstw rozbiorowych wypływają nietyle z nienawiści szczepowej albo z potrzeby i siły asymilacyjnej, ile z polityki geograficznej tych mocarstw. Rosya, naprzykład, ma zawiele w sobie obcych pierwiastków etnicznych, aby dążyła do szczepowego zespolenia Polaków z Wielkorusami; mimo to ruszczenie Królestwa prowadzi w sposób systematyczny i nieustanny. W Niemczech Bawar lub Sas, który ma szczepową odrazę do Brandenbunczyka, będzie pochwalał pruskich hakatystów, gdyż ich działalność zgadza się w jego mniemaniu z interesem politycznym Niemiec na wschodzie. I my powinniśmy więcej i częściej zwracać uwagę na charakter polityczno-geograficzny naszej walki z mocarstwami rozbiorczemi, jak na charakter szczepowy. A ta różnica jest bardzo ważną. Zapewne — niemczą lub ruszczą nam język, każą umysły naszych dzieci, utrudniają obronę w sądzie we własnym języku — lecz nietyle w tej walce chodzi o wchłonięcie w siebie obcego i wrogiego pierwiastku szczepowego, ile o zagarnięcie ziemi o wyparcie z siedzib — wtedy kresy państw rozbiorowych najpewniej i najmocniej byłyby utrwalone. Dlatego też rząd pruski i moskiewski jaknajchętniej patrzą się na odpływ żywiołu polskiego, pierwszy — na zachód, — do Westfalii, drugi — na wschód w głąb Rosyi. Liczmy się więc naprzód i głównie z eksterminacyą żywiołu polskiego, z dążeniami w tym kierunku mocarstw rozbiorowych i naszymi środkami w tej walce później zaś dopiero z walką szczepową, z wyższością lub niższością kultur, bo to dzisiaj jeszcze są przeważnie frazesy polityczne, służące do zamydlania ludziom oczu.

Rozumiem, że skoro nie abdykujemy z planów niepodległości narodowej, nie możemy pomijać w programach na dzisiaj kwestyi naszej polityki geograficznej, jak nie powinniśmy tracić z oczu sytuacyi europejskiej czyli układu wzajemnego mocarstw na szachownicy polityticznej. Frazes »polegania na sobie samych,« pracy organicznej czy kulturalnej nad wewnętrznem odrodzeniem usypia w nas zmysł polityczny dziejowy, atrofizuje pewne organa, bez których narod istotnie schodzi do pojęcia szczepowej jednostki, jak dajmy na to Łotysze, Małorusini itp.

Położenie geograficzne pewnego narodu ma zawsze wpływ stanowczy na jego rozwój dziejowy. Naturalnie, czynnik ten nie odpowiada za wszystko i nie stwarza sam tylko dziejów. Jest on raczej siłą bierną, którą porusza i ożywia geniusz narodu. Polityka geograficzna najściślej odpowiada położeniu geograficznemu, cele zaś, jakie sobie zakreśla, dają się tylko przeprowadzić siłą, przemocą. Dlatego historya państw w ich stosunku wzajemnym jest historyą wojen, zwycięztw, klęsk i traktatów pokojowych. Dlatego rozbiór Polski jest właściwie kwestyą nie upadku narodu, ale polityki międzymocarstwowej. Skutkiem tego wreszcie przez cały wiek XIX Polacy szeregiem walk stwierdzali nieustannie dążenie i poczucie sił w sobie do odgrywania roli mocarstwowej — i to pokolenie za pokoleniem, w 31. i 63 roku. I w trzeciem pokoleniu ta wiara i to dążenie osłabnąć lub zaginąć nie może.

Wszelkie dążenie do niepodległości musi mieć jasną świadomość pewnego rozprzestrzenienia się terytoryalnego narodu. Niemiec, Rosyanin, a nawet proszę się spytać, Francuza, Włocha lub Bułgara, wogóle członka narodu, posiadającego byt samoistny państwowy — bardzo dobrze to pojmują. Dla każdego z nich walka żywiołu polskiego z obcym, najezdczym, nie posiada innego znaczenia jak walki o byt niepodległy. Pod tym może jedynie tylko względem pożyteczną jest ankieta jednego z miesięczników (*Krytyka*) w sprawie polskiej, w której odwołano się do zapatrywań cudzoziemców. A nawet nie jest pozbawiona całkiem zdrowego sensu uwaga jakiegoś Francuza, któremu tłumaczono, że Polacy pragną t y l k o zachować odrębność — szczepową i kulturalną:

»Mój Boże, ale dlaczego nie chcą zostać Rosyanami?«

Żal mi tych moich rodaków, którzy poukrywali najistotniejsze i jedyne dążenie narodu na dnie duszy i wypierają się go przed całym światem, jak szlachta pochowała w głębokie skrzynie swe karabele i żółte buty, aby wolno jej było świecić od czasu do czasu temi szablami w trój-lojalnych uroczystościach.

Dla hałastry urzędniczej galicyjskiej, dla zżydziałych kapitalistów w Królestwie pozostawmy wypieranie się dążeń do niepodległości. Lecz zdrowa opinia narodu niech nie wyprowadza ogółu na manowce i nie zaciera jakimś frazesem pokojowej pracy organicznej, kultury, odrębności szczepowej itd. tego, co jest znamieniem naszego narodu w ciągu całego ubiegłego stulecia.

Zdarzyło mi się mówić z Niemcem uczonym rzetelnym a uczciwym, o kwestyi polskiej. Może się to wydać paradoksalnem, ale Niemiec chętniej wolał dyskutować o wytworzeniu jakiegoś państwa polskiego samodzielnego, coś w rodzaju *Zwischenbuff'u* między Rosyą a Niemcami, aniżeli w przeciwnym razie wyrzec się nadziei zniemczenia Poznańskiego.

Dziś kwestya ta w Niemczech stanęła tak wyraźnie, iż nie ma różnic zasadniczych co do celów, jedynie są co do środków. Na poparcia przytoczę parę ustępów z broszury „przyjaciela“ Polaków prof. Delbrücka[1]) tego samego, który dziś wraz z Wagnerem i wieloma innymi uczonemi powagami pruskiemi agituje na rzecz powiększenia floty niemieckiej. W swoim programie narodowem z okazyi rugów ślezwickich i procesu, wytoczonego mu przez rząd pruski, wyraża się bez ogródki iż nie walczy z ideą germanizacyjną, lecz tylko ze środkami, przez rząd dzisiejszy w tym celu stosowanymi, które nie tamują wzrostu żywiołu polskiego, lecz go wprost popierają. I profesor berliński uznaje zasadę, że każda akcya budzi przeciwdziałanie, zastanawia się więc nad systemem niemczenia najłagodniejszego, przy którym czujność Polaków zostałaby całkiem uśpioną.

„Im mniej Polacy będą drażnieni, im mniej będą się trzymać ze sobą, im słabszy będzie nacisk, który się kładzie na sprawy narodowościowe, *tym łatwiej jednostka wyzbędzie się swego poczucia narodowego*, tym łatwiej znajdzie się przejście od jednej narodowości do drugiej, a więc całkiem naturalnie od niższego stanu do wyższego, od polskości do niemczyzny“. To jeden kwiatek, który brzmi tak humanitarnie, iż my najhumanitarniejsi z humanistów gotowi jesteśmy telegraficznie zaprosić prof. Delbrücka do Lwowa, gdyż, podobnie jak Brandes, zwiedził i opisał już Warszawę.

Prof. Delbrück mówi, iż »duchowy rozwój naszej epoki polega na współżyciu wielu małych i wielkich ludów kulturalnych, z których każdy rozwija swoje właściwości, wpływa na drugiego i nawzajem wpływ jego na sobie odczuwa.« W polityce dzisiejszej międzymocarstwowej stawia zasadę, iż świat nie może stać się wyłącznie ani angielskim ani rosyjskim nie powinien przeto zostać i niemieckim. Ale inaczej w obrębie jednego państwa. Niemcom niewygodnie jest mieć 4 miliony mieszkańców w Prusach i w Lotaryngii obcej narodowości. »A zatem jest zadaniem państwa, aby te obce elementy jaknajprędzej zasymilowało z niemieckim pierwiastkiem, aby jaknajprędzej mogły przejść w skład narodowości niemieckiej.»

Doprawdy, czasem zastanawia jako objaw chorobliwy i bardzo groźny ta nieustanna czujność nasza na głosy obce, pochlebnie wyrażające się o nas. Prasa zakordonowa zwłaszcza galicyjska, robi istne wyścigi za takimi głosami, uważa je chyba za najdzielniejsze poparcie naszych żądań narodowych, jedno pismo nawpół naukowe krakowskie wywołało całą ankietę. Nie można nic zarzucić sprytowi jego wydawców,

[1]) *Ein nationales Programm* Berlin 1899.

gdyż w publiczności daje się zauważyć jakaś wprost chorobliwa namiętność i apetyt w tym kierunku, tak jak w Królestwie po zgonie Aleksandra III oczekiwanie na ulgi, tak jak dytyramby przez »*Czas*« i inne organa stanczykowskie, śpiewane na rzecz ks. Imeretyńskiego. Może mi więc czytelnik wybaczy iż przytoczę jeszcze jeden głos z broszury p. Delbrücka. Zastanawia się on zimno i całkiem trzeźwo nad skutecznością środków gwałtownych w celach stłumienia uczuć narodowych. »Rosyanie w swoim dziale Polski (mówi on) i w prowincyach niemieckich nadbałtyckich istotnie stłumili agitacyę przy pomocy najstraszliwszych środków. Czy to im nadługo wystarczy, to jest jeszcze wielkie pytanie. W Prusiech zaś, gdzie swoboda prasy, stowarzyszeń i zgromadzeń prawnie jest uznana, można wprawdzie zastosowywać w pojedyńczych wypadkach niektóre represalia, w ogóle jednak słabo się to uda, agitacya zaś, która nie może być w całości stłumiona, bywa raczej podsycana i rozszerzana przy pomocy drobnych represalij, aniżeli tłumiona.«

Zapewne, te poglądy są tak płytkie, iż nawet autorytet historyka i profesora pierwszej wszechnicy niemieckiej nie mogą im dodać zbytnio wagi. Prof. Delbrück zapewnia, że na początku zeszłego stulecia Niemcy nie tworzyli jeszcze wcale jednego państwa, a mimoto podnieśli się, aby odeprzeć najazd Francuzów a tego dzieła z rzucenia z siebie obcego jarzma podjął się naród niemiecki, gdy wszystkie drobne państwa niemieckie, nie wyłączając Prus, były rozbite albo czołgały się u stóp Napoleona, że wreszcie całe to państwo niemieckie było wytworem dążenia narodowościowego Niemiec do zjednoczenia i do samodzielnego niezależnego bytu.

To wszystko przemawia za tem, iż kwestya polska posiada wcale inne znaczenie, aniżeli prosta walka szczepowa, że jak rozbiór Polski ma swoje źródło w pewnym układzie mocarstw, pod koniec XVIII w. w pewnym kierunku ich polityki geograficznej, zwłaszcza dwóch państw, Prus i Rosyi, tak podobnie i dzisiaj nasza sytuacya polityczna, nasze roszczenia, wreszcie nacisk ze strony Rosyi i Prus wypływają z krzyżowania sie ich polityki geograficznej z zadaniami polityki naszej narodowej. I znowu przypominam, że ten prąd i ten kierunek rozwoju wytknęły nam wieki poprzednie.

W poglądzie na sprawę polską nader ujemną rolę odgrywa pewien czynnik psychologiczny, którybyśmy nazwali fetyszyzmem politycznym. Właściwością naszą jest patrzeć w przyszłość wyłącznie ze stanowiska doby bieżącej — teraźniejszość równoważy się z całymi wiekami minionymi, gdy tymczasem, przeciwnie, siły i główne prądy dzisiejsze można badać tylko ze stanowiska wieków minionych, wobec których teraźniejszość ma przejściowe i przygodne znaczenie.

Polityka geograficzna Polski w okresie nowożytnym, poczynając od 1386 r. dążyła do rozprzestrzenienia granic w kierunku dwóch mórz, Bałtyckiego i Czarnego. Dążenie to było koniecznem, jeżli się zważy, jak doniosłe znaczenie mają dla handlu ujścia rzek, nad któremi ziemie danego narodu są położone. Dla rozwoju Wielko- i Małopolski niezbędne były ujścia Wisły, podobnie jest dla rozwoju prowincyj właściwych litewskich ujściach Dźwiny i Niemna. Obydwa te zadania polityka geograficzna szlachty zdołała osiągnąć.

Traktat toruński (w 1466) zabezpieczył za Polską cały bieg Wisły wraz z portem gdańskim, położonem u jej ujścia. Wcielenie Inflant do Polski (1561 r.) miało przynieść te same korzyści Litwie, gdyż oddawało w jej posiadanie cały bieg Dźwiny wraz z portem Rygą. Okres czasu, kiedy Polska trzymała w swych rękach ujścia obydwóch rzek, był chwilą jej najświetniejszego wzrostu ekonomicznego. Zarazem Polska była panią Bałtyku i pierwszorzędnem mocarstwem na północy Europy.

Zadanie, opanowanie brzegów morza Czarnego było trudniejszem do spełnienia od czasu, gdy Turcy usadowili się na wybrzeżach północnych tego morza. Turcya zaś w drugiej połowie XV i w XVI w. była taką potęgą, o złamaniu której nie można było marzyć samej Polsce, chyba połączonym siłowo mocarstw europejskich. Zadanie to spadło na Polskę w XVII w. Niestety, Polska osłabiła swoje stanowisko nad Bałtykiem, gdyż straciła Inflanty na rzecz Szwecyi. To zaś, do czego dążyła Polska, dopięła Rosya, uzyskawszy ku końcowi XVII w. dostęp do morza Czarnego, na początku zaś w. XVIII Piotr W. wyłamał okno do Europy dla Rosyi, opierając jej potęgę na posiadaniu brzegów morza Bałtyckiego. Że Rosya utrwaliła za sobą to stanowisko geograficzne, dowodzi tego rozbior Polski i cały szereg zwycięzkich wojen, prowadzonych przez nią z Turcyą w XVIII i XIX w.

Tak się przedstawia kwestya mocarstwowego stanowiska Polski przed jej upadkiem.

Dziś mówić o tych samych, dawno przebrzmiałych zadaniach polityki geograficznej Polski od morza do morza byłoby anachronizmem. Dzisiaj dla samej Rosyi ani Bałtyk, ani morze Czarne nie posiadają tego znaczenia, które miały w wieku zeszłym, a nawet bieżącym, aż mniej więcej do wojny chińsko-japońskiej r. 1894.

I znowu trudno o lepszy dowód, iż stosunki handlowo geograficzne odgrywają rolę owego ciężaru, od którego zależy poruszanie się i chód całej maszyny państwowej. Ostatnie dziesięciolecie przyniosło najdonioślejsze zmiany w układzie wzajemnym mocarstw europejskich i wytknęło im politykę na dziesiątki a może setki lat na przyszłość.

Podbój Syberyi przez Jermaka w XVI w. nie sprowadził żadnych zasadniczych zmian w polityce geograficznej ówczesnego państwa moskiewskiego. Ten obszerny kraj posiadał takie same znaczenie dla Rosyi, jak n. p. Kajenna dla Francuzów. Tymczasem wojna chińsko-japońska zetknęła interesy najdalszego wschodu Azyi z interesami Europy. Rosya w pierwszym rzędzie poczuła się zagrożoną przez niespodziewaną rywalkę, Japonię, podobnie jak od strony południowej jeszcze wcześniej niepokoiło ją sąsiedztwo Anglii, która się rozgościła w Indyach. Odtąd panowanie w Azyi staje się dla Rosyi kwestyą jej dalszego bytu. Tem samem nacisk jej na sprawę polską znacznie się osłabia. Sprawa polska staje się w części zbytecznym balastem dla jej polityki, przestaje być kwestyą jej bytu mocarstwowego, jeśli można się tak wyrazić ze stanowiska rosyjskiego, wchodzi w stadyum sprawy wewnętrznej, sprawy prawosławia, czynownictwa i t. d które się tutaj rozgościły i których się łatwo ztąd wyprzeć nie da.

Na raze możemy więc stwierdzić tylko osłabienie tego ciążenia polityki Rosyi ku zachodowi — ciążenia, które nigdy dość silnem nie było, aby znieść i przełamać antagonizm Zachodu ku Wschodowi, którego przedstawicielką do dziś dnia jest Rosya. Nasza sytuacya geograficzna wskazuje na to, iż zmiana prądu dziejowego dokonała się na korzyść naszą. Zwłaszcza zaprzeczyć się nie da, że ziemie polskie muszą w przyszłości pośredniczyć w handlu lądowym pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Dla Polski przyszłej nie tyle wazne są granice naturalne, oparcie się o morze, ile stanowisko jej handlowo-geograficzne. Faktów pokrewnych w dziejach spotyka się bardzo wiele. W XIV, XIV w. Genua, Wenecya zawdzięczały swój byt pośrednictwu w handlu śródziemnomorskim, w czasach nowożytnych Stany Zjednoczone holenderskie zdobyły sobie niepodległość dzięki znaczeniu, jakie poczęły odgrywać w międzynarodowym handlu.

Każda kwestya międzymocarstwowa musi mieć swe uzasadnienie geograficzne. Położenie geograficzne przeważa dopiero szalę zwycięztwa na korzyść narodu, który ma poczucie swej odrębności szczepowej i kulturalnej. Dopóki naród pewien nie czuje w sobie dążności do ekspansyi, póty jest siłą bierną, póty ulega mocniejszemu, który na swoją korzyść wyzyskuje prądy ogólne dziejowe. I naodwrót, im bardziej współdziałamy z tymi prądami, tym dobitniej zaznaczamy swój wpływ, swój duch we wspólnym potoku cywilizacyi. Najwyższy zaś przejaw ducha narodu to byt państwowy samodzielny, niezależny, który wprowadza dany naród, jako jednostkę czynną, w dzieje i wyznacza mu własną rolę do spełnienia,

*W. B.*

# *SŁOWA PRAWDY.*

Gorliwa apostołka wiecznego pokoju i przeciwniczka wojny, przyjaciółka p. J. G. Blocha i wielbicielka »szlachetnej inicyatywy« cara Mikołaja, baronowa Berta Suttner w spółce z pruskim radcą tajnym W. Foersterem ułożyła i rozesłała do wybitnych uczonych i pisarzy odezwę, potępiającą postępowanie Anglików w Afryce południowej Znakomici uczeni i autorowie mieli tę odezwę podpisać. Henryk Sienkiewicz, do którego »pokojowo usposobiona« dama zwróciła się również z prośbą o podpisanie odezwy, odmówił i powody odmowy wytłomaczył w liście, który następnie z upoważnienia jego *Czas* wydrukował.

W liście swoim Sienkiewicz liczyć się musiał ze słowami. Piętnując obłudę niemiecką, nie mógł wspomnieć o cyniczniejszej jeszcze obłudzie prasy rosyjskiej, występującej przeciw polityce Anglii »w imię idei prawa i sprawiedliwości«, rozprawiającej z iście złodziejską bezczelnością o »przyrodzonem prawie każdego narodu do zachowania swej niepodległości«. Wspominaliśmy już dawniej, że najgłośniej i najsentymentalniej wyrażają oburzenie swe na Anglię organy pruskich hakatystów i rosyjskich wielbicieli Murawjewa. Sienkiewicz zwraca się tylko do pierwszych, ale i de drugich list jego się stosuje. *Mutato nomine de vobis fabula narratur.* I te pisma polskie, które w naiwności swego rozumu politycznego filipiki hakatystów i murawjewczyków powtarzają, powinny nad listem Sienkiewicza poważnie się zastanowić i wyciągnąć z niego odpowiednie wnioski.

Przytaczamy list Sienkiewicza w całości, pismom warszawskim bowiem cenzura nie pozwoli zapewne dokumentu tego przedrukować:

»Pani Baronowo!

»Jakkolwiek umiem ocenić szlachetne zasady tak pani, jak p. W. Foerstera i uczcić zasługującą na najgłębszy szacunek jej działalność, nakoniec zaś, jako syn nawskróś humanitarnego narodu, współczuję głęboko z wszelką ogólną niedolą i z wszelkiem cierpieniem, jednak odezwy podpisać nie mogę!

»Nie mogę, albowiem wydaje mi się jakąś niesłychaną ironią, czy też jakiemś potwornem bałamuctwem taki kierunek humanitarnych idei i taki stan najszlachetniejszych nawet umysłów, w którym potępia się tak gorąco objawy przemocy pod biegunem południowym i odczuwa się całem sercem nieszczęścia tak odległe, a nie widzi się, nie słyszy i milczy o najbliższych i głębszych. Pani! Praca wasza i zadanie wasze leżą bliżej was. Mnie i każdemu Polakowi z całej duszy żal Boerów, żal tej szlachetnej krwi anglo saskiej, która leje się na drugim końcu świata, żal mi matek, wdów i sierót — pozwalam sobie jednak zestawić tę

niedolę z niedolą bliższą nam i zarazem postawić Pani kilka pytań, z tem związanych.

»I Pani i p. W. Foerster z Berlina należycie do narodowości niemieckiej, niechże więc wasze zacne dusze odpowiedzą sobie same, czy los tychże Boerów nie byłby stokroć bardziej bolesny i opłakany, gdyby walczyły z nimi i miały ich zwyciężyć wojska tego państwa, które nie uważa się za mniej kulturalne od Anglii, a które wydało jednakże hakatyzm? Czy nad zwyciężonymi nie zagrzmiałoby złowrogie słowo »ausrotten«, czy nie użytoby wszelkich brutalnych środków do ich wynarodowienia, czy nie odjętoby im wolności, czy nie katowanoby ich dzieci za każde słowo, w rodzinnej mowie wyrzeczone, czy nie pozbawionoby ich języka i nie usiłowano ich wyprzeć z ziemi?

»Odpowiedzcie sami sobie, czy pod panowaniem angielskiem możliwy jest taki stan rzeczy, w którymby zmuszano ludność miejscową do płacenia podatków po to, aby one przyczyniły się do powstania milionowych sum, przeznaczonych na wykupno ojczystej ziemi tej ludności — i na wyrzucenie z niej odwiecznych mieszkańców?

»Czy w państwie ucywilizowanem może istnieć coś bardziej przewrotnego i głębiej niemoralnego? Czy może istnieć większa krzywda, większe cierpienie i czy — i Pani i p. Foersterowi z Berlina nie nasunęły się nigdy z tego powodu na myśl słowa Danta: *Nessun maggior dolore?*

»Oczy wasze błąkają się po przestworzach oceanu i wzrok leci na krańce ziemi, a przecie Poznańskie, Śląsk i Prusy Zachodnie leżą tuż obok was! Pan radca W. Foerster zna te kraje, wie, jak obfitym potokiem płynęła krew ich mieszkańców na polach Francyi — i wie, jak im za to obecnie wypłacają; wie, jak coraz nowe prawa uchwala przeciw nim znieprawiony Sejm, słyszy, co się dzieje w szkołach, jaka żelazna i brutalna pięść ciąży nad każdym objawem polskiego życia — wszystko to wie i prawdopodobnie potępia. Bo przecie tu nie chodzi o garść przybyłych z za morza osadników, ale o naród, zasłużony ludzkości i tak na swej ziemi odwieczny, że ta ziemia, to proch kości i ciał całych jego pokoleń.

»Więc Pani! Zanim zaczniecie się zajmować Afryką, zajmijcie się Europą. Olbrzymie zadania humanitarne leżą tuż obok was. Pracujcie nad tem, aby ogólna dusza niemiecka uszlachetniała tę hakatystyczno-państwową, i brońcie, aby sama nie została przez nią znieprawioną. Anglja wydała wielkiego ministra, który całe życie pracował nad odzyskaniem praw skrzywdzonej Irlandyi, pokażcie mi gdzie takiego drugiego w Europie! Dajcie tymczasem spokój duszy angielskiej, bo ona sama w sobie odnajdzie to wszystko, do czego wy dążycie, a pracujcie bliżej.

Podnoście polityczną moralność i uszlachetniajcie sumienia. Niech się rozproszą chmury bezprawia i przemocy, niech powiew prawdziwego humanizmu odświeży zatrute powietrze hakatystycznych koszar. Nieście «dobrą nowinę» waszym najbliższym, nieście słowa miłości. Pracujcie nad tem, aby Chrystus zapanował w domu waszym i w waszych dziejach. — Macie po temu serca, miejcie i wolę»...

---

«Dajcie spokój duszy angielskiej» nie troszczcie się o nią — można powiedzieć i do naszych sentymentalnych polityków. A raczej uczcie się od Anglików tej harmonii pomiędzy dążeniami humanitarnemi i interesem narodowym, jaką oni zachowywać umieją. *Right or wrong — my country*, innemi słowy — interes narodowy przedewszystkiem, to godło polityki angielskiej. Ale ta sama Anglia, która tak czujnie swego interesu narodowego pilnuje, która go tak bezwzględnie broni, jest zarazem kolebką wszystkich dążeń humanitarnych naszych czasów, z niej bierze świat cały wzory dla wszelkich instytucyi, mających na celu ulżenie niedoli ludzkiej, podnoszących dobrobyt, zdrowie, moralność i oświatę mas upośledzonych, stwarzających dla nich «radości życia» uszlachetniających ich dusze.

Niegdyś, w rozkwicie naszej potęgi państwowej, w dobie męzkiego rozwoju naszych sił narodowych, w XV wieku i nam ta harmonia obcą nie była. Ci sami mężowie, którzy w akcie unii horodelskiej z niezwykłą w tego rodzaju dokumentach szczerością i wzniosłością uczuć, z religijnem niemal namaszczeniem głosili zasady wolności obywatelskiej, w duchu braterstwa chrześcijańskiego pojętej, ci sami mądrą i bezwzględną polityką i niespożytą energią powiększyli kilkakrotnie obszar państwa, złamali potęgę krzyżacką i stworzyli z Polski najsilniejsze w Europie ówczesnej mocarstwo, w którem «jako w raju ojcowie nasi w szczęśliwości i weselu i w dostatku wszelakim żyli»...

Wracając do listu Sienkiewicza, zaznaczyć musimy, że nie jest dosyć jasnem i ścisłem zdanie jego o komisyi kolonizacyjnej i polityce pruskiej w ogóle, wyrażone w formie zapytania: «czy w państwie ucywilizowanem może istnieć coś bardziej przewrotnego i głębiej niemoralnego»? Niewątpliwie — może, mianowicie taki stan rzeczy, jaki istnieje w państwie rosyjskim i jaki dziś jeszcze jest tylko ideałem hakatystów pruskich, do którego wzdychają. Taki stan rzeczy, jaki istnieje na Litwie i w całym kraju zabranym, taki, jaki w ogólnych zarysach kreśli Pobiedonoscew w raporcie swym o postępach prawosławia wśród unitów w Królestwie.

Wprawdzie Rosya nie jest właściwie «państwem ucywilizowanem», ale chce przecie za takowe uchodzić. A obłudny humanitaryzm zarówno urzędowych jak duchowych jej przedstawicieli jest nietylko «potwornem bałamuctwem,» ale nikczemnem, cynicznem kłamstwem.

---

## Z CAŁEJ POLSKI.

---

TREŚĆ: *Tempora mutantur.* List p. Wodzyńskiego. Kilka uwag z powodu sprawozdania komisyi kolonizacyjnej. Dwa wybory.

Kiedy z 10 lat temu niejaki p. Śnieżko-Błocki ogłosił, w *Warszawskim Dniewniku* artykuł, krytykujący, poniekąd nawet słusznie, chociaż w sposób niezbyt uczciwy — działalność Towarzystwa kredytowego ziemskiego, ogłoszono go infamisem i nawet niewybredni w zawieraniu znajomości ludzie zerwali z nim stosunki. Oburzenie było powszechne, ale najgłośniej manifestowały go koła ziemiańskie i wogóle zachowawcze. I chodziło, tak przynajmniej zapewniano, nietylko o napaść na Towarzystwo kredytowe ziemskie, które uważano w tych kołach za nietykalną świętość narodową, ale raczej o fakt zamieszczenia artykulu przez Polaka napisanego w dzienniku urzędowym rosyjskim. Nie uznawano nawet okoliczności łagodzącej, że p. Śnieżko-Błocki, zresztą człowiek lichy pod względem moralnym, był istotnie pokrzywdzonym i że w poczytnych pismach polskich odmówiono mu zamieszczenia listu. W takich sprawach — wołali nieprzejednani wówczas patryoci szlacheccy — nie może być okoliczności łagodzących, a gdy w liczniejszem towarzystwie ośmieliłem się wyrazić przypuszczenie, że oburzają się może nie tyle patryoci, ile raczej stowarzyszeni ziemianie, dowiedziono mi że nie mam racyi.

Po p. Śnieżko-Błockim znaleźli się inni, którzy zaczęli szukać gościnności w *Warszawskim Dniewniku* dla obrabiania swoich spraw prywatnych i poruszania publicznych, lub po prostu dla zarobku. Jednego z takich, studenta K... koledzy wykluczyli ze swego grona, a jakiś śmiały imiennik winowajcy ogłosił publicznie, że nie jest jego krewnym i nie ma z nim nic wspólnego. Tak drażliwą była opinia na współpracownictwo w rosyjskiem piśmie urzędowem, lecz, jak zwykle u nas bywa, rychło złagodniała i stała się nawet nad miarę pobłażliwą.

Doszło do tego, że podobno nawet ludzie porządni próbowali czasem poruszać w *Dniewniku* takie sprawy, w których interwencya władzy była pożądaną. Wstydzili się jednak

tego manewru, przedsiębranego w najlepszych zamiarach i nie podpisywali swych artykułów.

Potem przyszła ugoda z dalszemi jej następstwami: zniepravieniem opinii publicznej, osłabieniem karności narodowej i t. d. Odkąd politycy i niektórzy publicyści polscy zaczęli urządzać konferencye poufne z pułkownikiem żandarmskim, p. Markgrafskim, odkąd arystokraci i przedstawiciele prasy polskiej zaczęli wydawać uczty dla marnych reporterów petersburskich, wsrółpracownictwo w *Dniewniku* przestało być nikczemnym czynem. Śladem p. Śnieżko-Błockiego, kanonika Domagalskiego i prałata Stojałowskiego spróbowali iść inni i nawet wzywać *Warszawskij Dniewnik*, a raczej za jego pośrednictwem rząd rosyjski na superarbitra w społecznych i politycznych sprawach polskich.

Niejaki p. Wodzyński, obywatel ziemski, z iście szlachecką fantazyą, której nawet ks. Stajałowski mógłby mu pozazdrościć, poszedł dalej niż inni i zamieścił w *Warszawskim Dniewniku* list w sprawie emigracyi zarobkowej włościan.

P. Wodzyński przyswoił sobie nietylko język rosyjski, ale i poglądy iście rosyjskie na sprawy społeczne, poglądy, które znakomity satyryk scharakteryzował w dwóch słowach: *taszczit'* (ma się rozumieć — do kozy) *i nie puszczat'*. W myśl tych poglądów p. Wodzyński domaga się w *Dniewniku* aby rząd „zaprowadził pewne ograniczenia prawa wyjazdu za granicę“, rozumie się ograniczenia dla chłopów...

„Skutkiem wzrostu emigracyi — mówi dalej — trudno będzie w tym roku dokonać zbioru produktów rolnych; stan też rolników, i tak już nie świetny, chyli się do zupełnego upadku. Jedyna nadzieja zbawienia polega na *łaskawości naszego rządu* który zawsze dbał o dobrobyt rolników“.

Według p. Wodzyńskiego; „ograniczenie prawa wyjazdu za granicę“, jest z tego względu pożytecznem a nawet niezbędnem, że „wysokość zarobków nie stanowi jedynej przyczyny emigracyi“. „Główne jej sprężyny — twierdzi p. Wodzyński tkwią w innych okolicznościach, prowadzących do zaszczepienia ludowi wiejskiemu od młodości *przewrotnych idei* i rozpusty, a także w chęci uchylenia się od służby wojskowej“...

Niedawno jeszcze *Warszawskij Dniewnik*, ucieszony współpracownictwem p. Wodzyńskiego, a zwłaszcza jego lojalną troskliwością o interesy rządu, wziąłby rozbrat z obowiązkowym dla przedstawicieli władzy rosyjskiej nad Wisłą demokratyzmem i poparłby prawdziwie rosyjski projekt pomysłowego ziemianina

Dziś jednak i *Warszawkij Dniewnik* wie, jaka zaszła odmiana, wie, że

. . . „dziś litewskie pany,
Przychodzą własne oddawać nam kraje
I szukać zemsty na swój lud znękany...

Niestety — dla p. Wodzyńskiego — wie również o tem, że „nie wszyscy, o nie, na Peruna! jeszcze są w Litwie“... są jeszcze (i coraz więcej ich przybywa) w Polsce tacy, którzy, budząc świadomość społeczną i polityczną ludu, usposabiają go wrogo względem rządu rosyjskiego. Te „przewrotne ideje“ tak się rozpowszechniły, ta „rozpusta“ polityczna tak się rozzuchwaliła, że sam „najświatlejszy“ książę Imerytyński zwątpił, czy rozwydrzony przez agitatorów lud nie jest już straconym dla władzy rossyjskiej i w celu zjednania jego przychylności chwycił się nadzwyczajnych środków, delegując komisarzy włościańskich, urzędników V klasy, do sprzedawania chłopom herbaty i flaków, polecając wszystkim umundurowanym czcicielom Bachusa propagowanie trzeźwości i t. p.

Sprawa z ludem polskim jest obecnie bardzo drażliwą, więc redaktorzy *Warszawskiego Dniewnika* przypomnieli sobie dawne dobre czasy, kiedy, jak mówią nasi radykalni ugodowcy, »hołdowali tradycyjnym zadaniom rosyjskiej młodzieży“ i powrócili do roli demokratów, obrońców i oswobodzicieli *ugnietionnawo naroda*. Zgromić takiego lojalnego, jak p. Wodzyński, obywatela nie wygada, ale wykpić go można.

Nie czytałem tego numeru *Warszawskiego Dniewnika*, cytuję więc według kroniki Prusa:

„Niema wątpliwości — mówi *Dniewnik* — że gdyby włościanie nie wychodzili za granicę na zarobki, w miejscowościach nadgranicznych byłoby więcej rąk roboczych; ale przecież byłoby ich tam jeszcze więcej i byłyby jeszcze tańsze, gdyby wrócić do pańszczyzny!...“

„Włościanin tutejszy — kończy *Dniewnik* — nie jest przecie takim włóczęgą, ażeby puszczał się na daleką wędrówkę — ot „tak sobie“ dla rozrywki. Przeciwnie, włościanin tutejszy ma bardzo wielkie przywiązanie do ojczystego zagona“.

„Ażeby zaś lekcya udzielona naszemu ziemianinowi o naszym chłopie była zupełną, *Warszawskij Dniewnik* robi jeszcze taką uwagę:

„Zgadzamy się, że wędrówki włościan za granicę, narażają ziemian na zmartwienie i straty. Ale zarazem zaradzić temu mo-

żna tylko jednym sposobem — przez polepszenie warunków pracy".

W sprawie tej zabrał głos i Prus i tak ją streszcza:

„Krótko mówiąc, gdy p. Wodzyński jeszcze sądzi że — obywatel ziemski jest powołanym do czuwania nad moralnością chłopa i nad nie uchylaniem się tegoż od służby wojskowej, *Warszawskij Dniewnik* już delikatnie przypomina, że — o moralnosć i służbę wojskową chłopa ziemianin nie potrzebuje się troszczyć lecz tylko o polepszenie warunków pracy..."

„Tym sposobem spóźniony i wcale niepotrzebny proces ziemianina z chłopem skończył się w trybunale *Warszawskiego Dniewnika* przegraną ziemianina".

Ma się rozumieć Prusa obchodzą tylko „bardzo konserwatywne poglądy" p. Wodzyńskiego", „z których dzisiejsza epoka nie może mieć najmniejszego pożytku". Mojem zdaniem, poglądy p. Wodzyńskiego mają tylko wyraźny charakter klasowy ziemiański, ale w pewnem znaczeniu są bardzo... postępowymi. Są one świadomymi pionerami tej ewolucyi, która prowadzi nasze klasy posiadające do coraz ściślejszego sojuszu z rządami zaborczymi przeciw wspólnemu wrogowi — ludowi polskiemu.

Stańczykowstwo w Galicyi, „polityka dworska" w zaborze pruskim, akcya ugodowa w zaborze rosyjskim — to jednorodne objawy tej ewolucyi, która poszłaby daleko szybcej, gdyby rządy rosyjski i pruski nie lekceważyły współdziałania tych sojuszników. *Warszawskij Dniewnik* śmiało może drwić sobie z panów Wodzyńskich, bo wie, że pomimo wszystko przyjdą oni do jego trybunału ze skargami na lud polski, z wiernopoddańczemi odwoływaniami się „do łaskawości naszego rządu", jak przychodzą w Galicyi, jak przychodzili w zaborze pruskim z żalami i donosami na ruch ldowy.

Nie martwi nas wcale ta ewolucya, to różniczkowanie się społeczeństwa na upartych, nieprzejednanych kozłów i potulnych, ugodowych baranów. Może to mieć wprawdzie czasem ujemne dla sprawy naszej skutki, ale na ogół ogromnie upraszcza i ułatwia zadanie demokracyi narodowej.

Niedawno ogłoszone sprawozdanie z działalności pruskiej komisyi kolonizacyjnej zawiera kilka znamiennych szczegółów. Nie będziemy powtarzali cyfr, świadczących o postępach kolonizacyi, zaznaczymy tylko, że w r. 1898 liczba kolonistów, wskutek usilnych starań komisyi, dosyć znacznie się zwiększyła, ale w roku ostatnim znów spadła. Komisya z każdym rokiem powiększa ob-

szar swych nabytków, ale rozkolonizowanie tego obszaru idzie opornie i kosztuje coraz drożej. W dodatku to powiększanie odbywa się dziś przeważnie kosztem uszczuplenia obszaru większej własności niemieckiej, nie dla tego żeby nie było ofert ze strony polskiej, ale dlatego, że junkrzy pruscy uważają obecnie komisyę za dojną krowę dla „uciśnionej niemczyzny“ i starają się zbyć jak najdrożej, nie dające im odpowiedniego dochodu, majątki. A komisya chętnie ten nowy sposób wzmacniania niemczyzny na kresach popiera i płaci coraz drożej za ziemię. Powiadają Niemcy że szlachcice polscy sprzedawali drogo liche majątki komisyi, i kupowali potem taniej lepsze, przeważnie od Niemców. Były zapewne takie wypadki, nie można ich jednak uogólniać, w każdym zaś razie spekulacye polskie taniej komisyę kosztowały, kiedy bowiem nabywała majątki przeważnie od Polaków, płaciła średnio za hektar nie wiele więcej nad 600 marek, teraz zaś płaci patryotom niemieckim blizko 1.000 marek. To też właściciele wielcy Niemcy spieszą z ofertami, w r. 1899 zgłosiło się do komisyi 163, Polaków zaś było 47. Działalność komisyi, mająca na celu ratowanie od bankructwa właścicieli Niemców, rychło wyczerpie drugie 100 milionów i dziś już podniosła ceny ziemi. „Patryoci“ niemieccy, znalazłszy obfite źródło zysków, dziś już zaczynają dowodzić, że niemczyzna wtedy dopiero będzie mogła bujnie krzewić się w Ostmarku, gdy fundusz kolonizacyjny zostanie podniesiony do 500 milionów, chociaż i ta suma nie nadługo starczy, bo apetyty rosną.

Kupowanie ziemi od Niemców w niewielkim tylko stopniu zmniejsza szkodliwość dla nas dotychczasowej działalności komisyi Zamiast jednego Niemca, właściciela wielkiego, osadzi ona na tym samym obszarze kilkudziesięciu kolonistów Niemców.

Pisma katolickie niemieckie przeciwne są działalności komisyi głównie dlatego, że sprowadza ona i osadza protestantów. *Germania*, wyliczywszy, że od r. 1886 liczba protestantów w Prusiech zachodnich i poznańskiem wzrosła wskutek działalności o 24.000 dusz, tak dalej pisze:

«Jeżeli się rozważy, że z funduszu 200 milionowego, na który tak katolicy jak protestanci płacący podatki złożyć się musieli, wybudowano 16 kościołów, 11 domów modlitwy, 17 zabudowań gospodarczych dla pastorów, 1 zabudowanie gospodarcze dla organisty, 98 szkół, 1 szkółkę ogrodniczą, 65 budynków dla potrzeb gmin — wszystko to za cenę 2 milionów 714,150 mrk., to wszystkie te liczby oznaczają materyalne popieranie protestantyzmu,

jak już jednostronnej i dla katolicyzmu szkodliwej odbywać się nie może«.

Poczciwi Niemcy katolicy, obawiając się protestantyzacyi dzielnic wschodnich, coraz wymowniej i coraz natarczywiej dowodzą, że i oni równie dobrze, a nawet lepiej niż ewangelicy spełniać by mogli zadanie niemczenia Polaków. Rząd zachowuje stanowisko wyczekujące: odpowiada, że w zasadzie Niemców katolików nie wyklucza, ale popierać ich będzie dopiero wtedy, gdy faktomi dowiodą swych zdolności germanizatorskich. Dotychczas — powiada nowy minister oświaty, p. Studt — było inaczej i przytacza przykład z czasów, gdy był landratem w Poznańskiem. W r. 1862 w 5 gminach było około 1400 Niemców katolików, po kilkunastu latach naliczono zaledwie 30, inni wynieśli się lub spolszczyli.

Niektóre pisma polskie podzielają widać zdanie p. Studta, bo podając głosy pism katolickich niemieckich, zaznaczają niekiedy, że się z ich zdaniem w pewnej mierze solidaryzują. Tymczasem wielu ludzi — i bodaj słusznie — twierdzi, że kolonizacya niemiecko-protestancka jest dla nas mniej niebezpieczną, niż katolicka. Niemcy — protestanci stanowią jakby obce ciała, tkwiące w organizmie polskim. Nie asymiluje on ich, ale też i one żadnego nań wpływu nie wywierają. Natomiast osadnictwo niemiecko-katolickie w dzisiejszych warunkach jest bardzo niebezpiecznem, wprowadza bowiem język niemiecki do kościoła, a więc pośrednio wytwarza najszkodliwszą formę germanizacyi. Minęły i nie rychło zapewno wrócą te czasy, kiedy Niemcy katolicy istotnie się polszczyli, nawet te czasy, kiedy w życiu politycznem współdziałali z Polakami. Dziś Niemcy katolicy są takimi samymi wrogami naszymi, jak ich ewangeliccy ziomkowie, a nawet niebezpieczniejszymi, bo mają z nami wiele punktów stycznych. Zresztą oprócz licznych wypadków niewątpliwego spolszczenia Niemców katolików w czasach dawniejszych, przytoczyć można wypadki wprost przeciwne. W Prusiech Zachodnich są n. p. w powiecie wałeckim całe okolice, których mieszkańcy, Niemcy katolicy, dziś nie umiejący ani słowa po polsku, doskonale pamiętają, że ich dziadowie i pradziadowie byli Polakami.

P. Klausner, autor artykułu w *Das neue Jahrhundert* dowodzi że polszczą się w pewnej mierze wszyscy Niemcy w prowincyach wschodnich, nietylko katolicy ale i ewangielicy, nie wyłączając pupilów komisyi kolonizacyjnej, którzy z potrzeby uczą się również po polsku. Arykuł p. Klausnera niczego nie przynosi, bo i to twier-

dzenie autora. że polityka rządu i hakatystów właściwie wzmocniła tylko żywioł polski, nie jest nowem. Ale p. Klausner bardzo zręcznie i wymownie tezy swej dowodzi, grupując umiejętnie znane zkądinąd, ale dorywczo przytaczane fakty. Wykazuje on, że dawniej w zaborze pruskim Polacy, (mowa tu przeważnie o inteligencyi) gdy nie wywierano na nich szczególnego nacisku, dość łatwo się niemczyli. Obecna polityka gwałtownej germanizacyi uczyniła ich odporniejszymi, nietylko wzmocniła poczucie narodowe i solidarność, ale dopomogła do rozwoju innych dodatnich przymiotów. Natomiast Niemców ta polityka zdemoralizowała; dziś pod wielu względami Polacy ich przewyższają i w walce narodowej zwyciężają. P. Klausner radzi powrót do polityki dawnej, chociaż sam zapewne nie spodziewa się, żeby rady jego posłuchano.

Wywody p. Klausnera są pouczające nietylko dla Niemców, ale i dla tych naszych polityków, którzy sprzeciwiają się wszelkiemu energiczniejszemu działaniu, chociaż nawet pożyteczność jego uznają, z tej jedynie racyi, że działanie takie wzmoże ucisk. Ma się rozumieć, równie niedorzecznem byłoby umyślne wywoływanie ucisku z tej znowu racyi, że on narodowość naszą na ogół wzmacnia. Chodzi o to tylko, żeby perspektywa wzmożenia ucisku nie hypnotyzowała nas na bezczynność, nie osłaniała naszego lenistwa i niedołęztwa. W ocenianiu każdej akcyi politycznej trzeba przedewszystkiem to rozstrzygnąć, czy ona jest dla nas potrzebną i pożyteczną, a potem dopiero rozważać możliwe jej a od nas niezależne skutki, które niezawsze dają się przewidzieć i są czasem wprost przeciwne oczekiwanym.

Niedawno odbyły się dwa wybory — we Lwowie i w Bochni. Jak przewidywaliśmy, we Lwowie p. Daszyński nie przeszedł, chociaż gorliwie i dosyć zręcznie za nim agitowano, a przeciwnik jego miał wielu niechętnych. Liczba głosów jednak, jaką otrzymał p. Daszyński, była nadspodziewanie wysoką, tymbardziej że udział wyborców w głosowaniu był dosyć słaby.

Wielu wyborców nie chciało głosować ani za Piętakiem, który nie cieszy się popularnością, ani za Daszyńskim. Gdyby znalazł był się kandydat trzeci, choć trochę znany i przedstawiający jakąś wartość polityczną, byłby prawdopodobnie zwyciężył. Niezjawienie się kandydata świadczy o braku we wszystkich stronnictwach wybitnych ludzi. Ostatnie wybory nietylko we Lwowie ale i w innych miastach fakt ten stwierdziły. Tarnopol wybrał niemal jednogłośnie nieznanego wyborcom prof, Ćwiklińskiego, uczonego filo-

loga, który nie brał nigdy udziału w życiu politycznem, i nie interesował się niem wcale. Stanisławów na gwałt szuka choć trochę demokratycznego kandydata i prawdopodobnie wybierze ostatecznie b. austryackiego prokuratora, któremu uśmiecha się powiększenie emerytury dyetami poselskiemi.

Ten brak ludzi nie jest jednak bezwzględnym. Wymienić można w samym Lwowie kilku, może nawet kilkunastu ludzi, których wybór byłby dla sejmu pożądanym nabytkiem. Ale ci właśnie usuwają się od polityki. Coraz wyraźniej wśród inteligencyi wyodrębniają się dwa typy: zawodowych „politykanów", inaczej mówiąc karyerowiczów politycznych i ludzi, zupełnie do działalności politycznej zniechęconych. Typ pośredni człowieka, uważającego zajmowanie się polityką za obowiązek obywatelski, staje się coraz rzadszym.

Wybory lwowskie nasuwają dużo tematów do rozmyślań i uwag o wyrobieniu politycznem społeczeństwa galicyjskiego, o jego, że tak powiem, kulturze politycznej. Odkładam jednak te uwagi na kiedyindziej, tu zaś poprzestanę na kilku spostrzeżeniach, podczas ostatnich wyborów zrobionych, i refleksyach, które mi nasunęły. Sądzę, że zachowam zupełną przedmiotowość, nie byłem bowiem zwolennikiem ani jednej, ani drugiej kandydatury, a że takich, jak ja, było bardzo wielu, mój głos będzie głosem jeżeli nie większości, to znacznej liczby ludzi, należących do t. zw. inteligencyi.

O głosowaniu za Piętakiem lub za Daszyńskim decydowały przeważnie względy uboczne. Gdyby wybory były tajne, zostałby zapewne posłem p. Daszyński, nie dlatego, żeby gwałtownie chciano wysłać go do sejmu, ale dlatego, że nie chciano jego przeciwnika. Prof. Piętak naraził się wielu ludziom i wogóle nie jest lubiany. Przy tajnem głosowaniu z pewnością nawet niektórzy wysocy dygnitarze miejscy i krajowi dali by głosy swoje p. Daszyńskiemu, byle tylko Piętąk upadł. Pamiętają mu wystąpienia jego w sprawie Kasy oszczędności i Banku kredytowego nietylko ci wszysey którzy podczas ostatniej Panamy galicyjskiej ocierali się lub mogli się otrzeć o kryminał, ale i ich przyjaciele osobiści i politycznej. W gwałtownej agitacyi *Słowa polskiego* za Daszyńskim ten wzgląd grał niepoślednią rolę. Mieszczaństwo lwowskie wogóle nie lubi ludzi zbyt surowych. Dobroduszne niechlujstwo nietylko w życiu fizycznem, ale i w sprawach moralnych jest znamiennym rysem Lwowa. Niedawno przecie jedno z pism codziennych wystąpiło z charakterystyczną obroną władz miejskich z powodu sa-

mobójstwa wydalonego za nadużycia oficyalisty. Dowodzi to pismo, że władze miejskie nie są winne śmierci tego człowieka, bo przecież, wiedząc o jego nadużyciach, przez długi czas pobłażliwie je traktowały. Poczciwi obywatele, którzy taką etykę wyznają, nie mogli chcieć na posła p. Piętaka, ale nie mieli również zaufania do p. Daszyńskiego, obawiając się, że i on zacznie w Sejmie niemiłe sprawy poruszać i zatruwać życie spokojnym ludziom, nie lubiącym, żeby im patrzano na palce.

A pozatem, że jest uczciwym osobiście i względnie śmiałym człowiekiem, p. Piętak nie ma takich przymiotów, które mogłaby sympatye wyborców na jego stronę przeważyć. Jego liberalizm jest równie wątpliwym, jak jego demokratyzm i jak jego samodzielność obywatelska. Nie ma ani wybitnej indywidualności politycznej, ani nawet tych przymiotów osobistych, które popularność zjednać mogą. Nie wniesie do Sejmu niczego nowego, choć cokolwiek eryginalnego.

Ale, pytano, czy i p. Daszyński wniósłby coś nowego, a to nowe, czy byłoby pożądanem? Niewątpliwie wprowadziłby nową taktykę, ożywił rozprawy. Czy jednak to ożywienie rozpraw na wzór wiedeński dałoby jakie rezultaty dodatnie, czy nowa taktyka nie ośmieliła by np. dosyć potulnych dotychczas Rusinów w rodzaju p. Okuniewskiego do wyprawiania awantur?

P. Daszyński jest bardzo dobrym i zręcznym, nawet świetnym mówcą, zwłaszcza na licznych zgromadzeniach. Jest on człowiekiem niewątpliwie zdolnym, politykiem sprytnym, parlamentarzystą, oryentującym się łatwo, umiejącym w lot chwytać chwilę odpowiednią i wyzyskiwać okoliczności. Ale ani w artykułach i broszurach, dotychczas wydanych, ani w wystąpieniach parlamentarnych nie wykazał jakieś szczególnej, olśniewającej inteligencyi politycznej ani głębokości i oryginalności poglądów, a to tylko skłonić mogło ludzi przekonań odmiennych do gorliwego popierania jego kandydatury.

Przeciwnie, podczas agitacyi wyborczej i poprzednio niejednokrotnie przedstawił się p. Daszyński jako porządny oportunista. Ten oportunizm mógł nawet jawnie niechętnych jego kandydaturze przekonywać, że i w Sejmie p. Daszyński potrafi się przystosować do warunków, ale nie mógł zapalić do jego kandydatury,

Nie zapierając się swoich przekonań, owszem, zaznaczając je przy sposobności, nie występował jednak p. Daszyński jako socyalista, ale jako kandydat zjednoczonej opozycyi. Wielu jednak ludzi od głosowania za nim powstrzymywała obawa, że ewentu-

alne zwycięztwo kandydata opozycyi wyzyskiwać następnie zaczną socyaliści, jako zwycięztwo swej partyi. Jakoż istotnie były, pomimo przegranej, już przechwałki, że «kandydat socyalistyczny" zdobył blizko 2000 głosów.

I to w oczach wielu wyborców polskich szkodziło p. Daszyńskiemu, że agitowali za nim, a później głosowali w znacznej liczbie Rusini i Żydzi. Ci ostatni bodaj po raz pierwszy wyłamali się z pod powagi kahału, który kazał im głosować za p. Piętakiem. Rozbicie tej ohydnej organizacyi wyborczej żydowskiej, która głosowała zawsze solidarnie za tym, kogo rząd polecił lub kto najwięcej kahałowi płacił jest najbardziej może dodatnim rezultatem postawienia kandydatury p. Daszyńskiego.

Podczas gdy na tę kandydaturę zwrócona była cała uwaga uwaga publiczności i władz, po cichu, znaczną większością głosów (155 z 219) wybrany został do Sejmu z powiatu bocheńskiego, niegdyś sojusznik, dziś zawzięty przeciwnik p. Daszyńskiego — ksiądz Stojałowski. Podobno wysoki dygnitarz rządowy, gdy otrzymał telegram, donoszący o wyborze Stojałowskiego, zawołał: „teraz prawdziwie żałuję, że Daszyński przepadł, bo on przynajmniej potrafiłby zwalczać w Sejmie Stojałowskiego i neutralizowaliby się wzajemnie".

A więc nie uniknął Wysoki Sejm nieprzyjemności i zamiast Daszyńskiego, którego się tak obawiano, zasiądzie na ławie poselskiej ks. Stojałowski. Otóż podobno kwestya: czy zasiądzie? Przypomiano, że sejm może nie przyjąć nawet prawomocnie wybranego posła, poszlakowanego o czyny niemoralne. Są precedensy, dwukrotnie bowiem Sejm nie przyjął posłów pp. Chomińskiego i Kamińskiego. Kto jak kto, ale ksiądz prałat nie jest pod względem moralnym nieposzlakowanym. Nie trzeba długo szukać, żeby znaleźć w jego przeszłości — o teraźniejszości nie mówię — różne grzeszki: przeniewierzenie funduszów składkowych, namawianie do fałszywych zeznań i t. d. Ks. Stojałowski nietylko ocierał się o kryminał, ale i wycierał w nim kąty z prawomocnego wyroku sądu.

Wybór ks. Stojałowskiego jest nową a dotkliwą porażką stronnictwa ludowego. Nazywam rzecz po imieniu, bo nie uznaję wogóle, a tymbardziej w danym wypadku względów, nakazujących ukrywanie istotnego stanu rzeczy. Należy odważnie przyznać się do przegranej, chociażby, jak właśnie w Bochni była niezaszczytną kapitulacyą bez walki. Sprawa tak się przedstawia. Kandydat stronnictwa ludowego, dr. Bardel, na godzinę przed wyborami

zrzekł się swej kandydatury, nie dając wyborcom wskazówek, za kim głosować powinni, co jest tymbardziej dziwnem, że trzeci z ubiegających sią o mandat, p. Mais, przyznawał się dosyć wyraźnie do programu stronnictwa ludowego i że człowiek uczciwy i dobry Polak w żadnym razie kandydatury Stojałowskiego nie może nawet pośrednio popierać. Pisałem już poprzednio, że stronnictwo ludowe powinno było prowadzić walkę wyborczą ze Stojałowskim pod hasłem: każdy inny, byle nie on, którego przecie sami nazywacie „oszustem politycznym“, zdrajcą sprawy ludu i sprawy narodowej. Takie wyraźne, śmiałe postawienie sprawy nie zapewniłoby może wygranej, ale przynajmniej przegrana byłaby zaszczytną, przynajmniej walka byłaby zaciętą.

Kilkakrotnie ludowcy potykali się w ostatnich czasach ze Stojałowskim i zawsze ulegali, zwyciężali zaś raz tylko, przy wyborze p. Stapińskiego, kiedy właśnie agitacya się zaogniła, kiedy walkę prowadzono na ostre. Ten przykład potwierdza tylko wniosek, wyprowadzony z obserwacyi stosunków. Lud tak jest rozagitowany, tak powiedziałbym, zdemoralizowany agitacyą, że tylko użycie silnie działających środków może go pociągnąć. Stojałowski doskonale to rozumie i umyślnie zawsze agitacyę wyborczą zaostrza.

Chcac inaczej walkę w chwilach stanowczych prowadzić, trzeba wogóle inną taktykę w działalności politycznej stosować. Tymczasem stronnictwo ludowe używa niemal wyłącznie taktyki agitacyjnej, ale gdy potrzeba, nie doprowadza jej do ostatnich konsekwencyi. I trzeba to sobie należycie uprzytomnić — doprowadzać nie może, ze względu na żywioły, które w skład jego wchodzą. Do stronnictwa ludowego należą, sól jego stanowią włościanie, stosunkowo najbardziej inteligentni, rozważni, w dążeniach swych względnie umiarkowani, zdolni do pozytywnej pracy społecznej i politycznej i pragnący bezpośredniego w niej udziału. Jest takich zapewne nie zbyt wielu, ale właściwie nimi stronnictwo stoi i liczyć się z nimi, świadomie czy bezwiednie, musi. Im się agitacya przejadła, mówią o niej z przekąsem, a nadanie jej ostrego, gwałtownego charakteru mogłoby ich tylko odstręczyć.

I oto stosunki tak się układają. Podniecenie, niekiedy możnaby powiedzieć, rozwydrzenie polityczne masy ludowej doszło do takiego stopnia, że stronnictwo, które chce mieć wpływ na nią i jej głosy, musi nietylko używać taktyki agitacyjnej, ale nadawać jej charakter coraz ostrzejszy, nawet sztucznie ją pobudzać.

Z drugiej strony najlepsza, przedstawiająca największą wartość, najinteligentniejsza część ludu coraz bardziej zniechęca się do agitacyi i tem samem, do tych, co ją prowadzą. Nie jest to jednak dylemat nierozwiązalny, chociaż się takim z pozoru wydaje. Mojem zdaniem, trzeba raz stanowczo z bezpłodną taktyką agitacyjną zerwać, chociaż by to uniemożliwiło nawet odnoszenie łatwych i tanich zwycięztw. Zresztą te zwycięztwa stają się coraz rzadszemi, coraz trudniejszemi wobec konkurencyi Stojałowskiego, a wkrótce może — *utinam falsus sim vates* — i socyalistów. Nic na to nie poradzą nawet sojusze, zawierane jakoby *proprio motu* przez p. Stapińskiego z p. Daszyńskim, bo już pono stary Grek słusznie powiedział: «Zaiste, o Ateńczycy, podobni do wołów, na rzeź idących, są mężowie, którzy silniejszych od siebie na bój wyzywają niebacznie, a z mądrzejszymi od siebie w przymierza wchodzą.»

Nie wątpię, że w stronictwie są ludzie, którzy to wszystko lepiej odemnie rozumieją i dokładniej widzą. Ale, niestety, jeżeli nawet Rada państwa nie będzie rozwiązaną, to na rok przyszły przypadają wybory a przed wyborami taktyki zmieniać nie można, dopiero później, gdy stosunki normalne się ułożą, wypadnie o reformie i reorganizacyi pomyśleć. Zapewne, tylko że później nadejdą znów wybory do Rady państwa, różne wybory uzupełniające do obu ciał prawodawczych, nie mówiąc już o wyborach do Rad powiatowych. Wiadomo, że przynajmniej wszelkiego rodzaju wyborów ma Galicya dosyć.

*J. L. Jastrzębiec.*

---

## *GŁOS Z LITWY.*

### I
### *Pogrzeb duumwiratu.*

Sensacyjna i nad wyraz charakterystyczna sprawa rozegrywała się przed kratkami izby sądowej wileńskiej w d. 22, 23, 24 i 25 lutego b. r.

Na ławie oskarżonych zasiedli: 1. b. policmajster wileński, radca stanu i kawaler orderów, Piotr Rajewskij, 2. b. brandmajster straży ogniowej wileńskiej, szlachcic Edward Beck i 3. 4. 5. i 6. kanceliści przybocznego biura policmajstra: Assowskij, Dowgiałło, Gawłowicz i Judkiewicz. Wszyscy prawosławni, krom Becka, ewangielika.

Długi akt oskarżenia zarzuca dwóm pierwszym pobieranie łapówek od ogółu dorożkarzy wileńskich, nadużycie władzy i kradzież pieniędzy

należących do straży ogniowej, pozostałych robi winnymi niedoniesienia władzy o tych nadużyciach.

Świadków do sprawy powołano przeszło 150 i materyał dowodowy zebrano olbrzymi. Oskarżonych bronili Rajewskiego — Jan Maurycy Kamiński, adwokat z Warszawy, Becka — Bielizo i Zmaczyński, prawnicy miejscowi, kancelistów zaś z urzędu wyznaczony — Tadeusz Wróblewski. Oto, co opowiada akt oskarżenia i zgodnie stwierdzają świadkowie.

Piotr Rajewskij, naznaczony na urząd policmajstra w r. 1887, od pierwszej chwili stworzył cały system zdzierstw, których ofiarą padli dorożkarze wileńscy. Wszakże system ten był nieco chwiejny i dopiero, gdy w r. 1893 Rajewskij dobrał sobie na zaufanego powiernika i radcę brandmajstra Becka, popłynął on szerokiem i pewnem łożyskiem wielkich zysków dla obu łupieżców i krzywd — dla dorożkarzy.

Cóż tedy robią ci wielcy działacze. Przedewszystkiem dzielą między siebie role: Rajewskij daje powagę i siłę, Beck zaś staje się łotrowskim wykonawcą. Ustanawia się stała taksa łapówek: za coroczną zmianę świadectwa od każdego dorożkarza (jest ich w Wilnie przeszło 600) po 1 rb., za wykupno świadectwa nowego 6 do 12 rb., za usunięcie się od corocznie dwa razy powtarzanej lustracyi, li tylko w celach łupieżczych ustanowionej, po 3 rb. każdorazowo od dorożki, za zwolnienie od usunięcia rzekomo dostrzeganych braków przy lustracyi po 2 rb. za uwolnienie dorożkarza, wraz z koniem i powozem przetrzymywanego na podwórzu policyjnem — 1 rb. i t. d.

Jednem słowem działalność rabusiów stała się szeroką, publiczną i nadspodziewanie owocną. Po dziesięciu latach urzędowania, Rajewskij, mający moc długów przy objęciu urzędu policmajstra, nabył znaczne dobra ziemskie, złożył 75 tysięcy rubli skromnych oszczędności, a Beck pobierając 50 rb. miesięcznej pensyi, mógł codzień pozwalać sobie na kolacye z szampanem w jednym ze znanych przybytków muzy podkasanej. Banknot storublowy dla tych mrówek zabiegliwych stał się drobnostką i gościem stałym, niemal codziennym.

I tak to sobie trwało szczęśliwie dla Rajewskiego przez całe lat dziesięć, a dla Becka — cztery.

Uprzytomnijmy tu sobie obraz rządów zwierzchniczych przez cały ten czas. Wileńskim generał-gubernatorem był słynny Kachanow, a gubernatorem — baron Grewenitz, dziś już nieżyjący. Obaj ci naczelnicy administracyi nic nie wiedzieli o mających miejsce, gorszących nadużyciach, gdyż każdy z nich, krom bardzo zwykłej normy zajęć złodziejskich, myślał o czemś innem. A więc Kachanow dążył do zamiany całego Wilna na jeden ogromny lupanar państwowy, chytry zaś baron kuł sobie mozolną ścieżynę do wyższych dostojeństw państwowych.

Rajewskij dla obu urządzał „rajskie wieczory“ u siebie w domu, a po zatem pilnował jeno, ażeby każdą wycieczkę Kachanowa do kochanki ochraniało dwóch policyantów „z urzędu“, i ażeby ambitny baron spotykał stałe dowody uwagi ze strony policyi przy każdorazowem ukazaniu się publicznem.

Poza tem Rajewskij, Beck i wielu zresztą innych mogli robić, co im się spodobało; wszak operowali w kraju skonfiskowanym, gdzie łupieztwo jest aktem zasługi państwowej, a rozbójnictwo — wyjątkowej zasługi i poświęcenia.

To też nie wahano się i nie krępowano.

Zdarzyło się w r. 1888 Rajewskiemu przejeżdżać przez plant kolei żelaznej warszawsko-petersburskiej, położony w granicach miasta.

Przejazd był zamknięty wobec oczekiwanego nadejścia pociągu, a straż bezpieczeństwa pełniła brzemienna żona dróżnika z latarnią w ręku i obowiązującą chorągiewką.

— Otwieraj! — ryczy woźnica, a za nim sam Rajewskij.

Dróżniczka milczy, następnie zaś tłómaczy się wyraźnem wskazaniem przepisów.

Na to Rajewskij wyskakuje z dorożki i, bijąc kobietę rękam a kopiąc nogami, wrzeszczy:

— Wot tiebie prykazy i rasporażenia!

Jakoż przejechał dzielny rozbójnik do zamiejskiego lupanaru. aby ztamtąd zaangażować kilka kwiatów na najbliższy wieczorek rajski u siebie dla... zwierzchników.

Atoli zarząd kolei inaczej śmiał spojrzeć na ten... obraz dzikiej energii i poruczył swemu radcy prawnemu, adwokatowi Franciszkowi Zanowi (synowi sławnego Tomasza) wytoczyć skargę kryminalną i powództwo cywilne po sprawdzonym fakcie, że pobita dróżniczka zmarła dnia trzeciego z powodu gwałtownego poronienia.

Rajewskij poruszył niebo i ziemię, Kachanow użył i nadużył wszelkich swych wpływów i przywilejów, niemniej przeto policmajster został skazany na dwu tygodniowy areszt na odwachu i zapłacenie rodzinie poszkodowanej kilkuset rubli alimentów.

Lecz odtąd dzieje się coś potwornego i wstrząsającego. Adwokat Zan uskarza się przed znajomymi na jakieś cienie śledcze, które za nim wszędzie podążają; on, człowiek powszechnie lubiany za ludzkość i dobroć wyjątkową, nabywa sobie rewolwer w przewidywaniu grążącej mu co chwila samo obrony.

I oto rozgrywa się przedostatni akt okropnej tragedyi.

Adwokat Zan, wracający do Wilna pociągiem pośpiesznym kolei warszawsko-petersburskiej od Warszawy, zostaje znaleziony z prze-

strzeloną skronią i bez życia. Na dworcu kolejowym do sprowadzenia władz prokuratorskich, żandarmi pozwalają sobie na *nieopatrzne* zatarcie śladów, dających w śledztwach pierwszy obraz występnego czynu i okoliczności mu towarzyszących. Niemniej przeto sprawdzono kilka faktów następującej natury: 1. Zan w chwili śmierci czytał powieść wesołą. 2. Znaleziono *wyraźne* ślady trzech strzałów, a w rewolwerze Zana *tylko jeden* ładunek wystrzelony. 3. Pozycya pośmiertna nieboszczyka usuwała myśl samobójstwa z powodów anatomicznych i fizyologicznych. 4. Nieboszczyk Zan, powszechnie lubiany i poważany, nie miał *żadnego powodu* do samobójstwa.

Wszystko to zostało zaniedbanem przy śledztwie i cały wypadek uznano za — samobójstwo. Nic nie pomogły również bezimienne, lecz poważne zaprzeczenia ze strony, skierowane do żony nieboszczyka, do prokuratora i innych. Zan został samobójcą, *bo tak być musiało*, gdyż śmiał wystąpić przeciw jednemu z ówczesnych rządowych, działaczy w Wilnie.

Co do rodziny Zana i najbliższych jego, nikt nie wątpił wtedy i dziś nie wątpi o tem, że padł on ofiarą dzikiej i nikczemnej zemsty ze strony... Rajewskiego.

Jakoż w lat parę później ukazuje się na widowni publicznej nowy brandmajster wileńskiej straży ogniowej, Beck. Nie ma on żadnej kwalifikacyi fachowej, nie ma nawet przeszłości służbowej, gdyż był lichym pisarkiem policyjnym. Ale zdradza odrazu szaloną i dziką odwagę i odrazu staje się ulubieńcem i protegowanym policmajstra. Odtąd obaj oni tworzą duumwirat w celu wspólnej grabieży, złodziejstwa i wszelkich innych nadużyć.

Dopiero r. 1896 przyniósł pożądaną reakcyę. Gubernatorem wileńskiem został nareszcie człowiek uczciwy i energiczny — Freze, i ten to za pierwszy czyn swój uznał oddanie pod sąd Rajewskiego i Becka.

Becka odrazu wsadzono do więzienia, Rajewskiego zaś przez czas krótki skazano na areszt domowy; obaj oni zresztą byli uwolnieni za kaucyami, gdyż Freze został usunięty, jako zbyt uczciwy dla kombinacyi wspólnej z ówczesnym generał-gubernatorem Orżewskim, bohaterem słynnej sprawy krożańskiej.

W mieście wiedziano powszechnie, iż Rajewskij zapłacił kaucyę za Becka i że dawał pieniądze na utrzymanie jego samego i rodziny przez cały czas śledztwa i badań przedwstępnych, a więc przez przeciąg przeszło trzyletni.

Zdarzyło się wszakże, że Rajewskij zapragnął zamknąć kieszeń dla... współpracownika. I oto w mieście rozeszła się pogłoska, że Beck zawiadomił prokuratoryę, iż on to z namowy Rajewskiego zabił Zana.

W procesie dopiero co rozegranym oczekiwano wyjaśnień w tej sprawie, lecz oczekiwano napróżno, snadź wpływy wyższe oddziałały na milczenie władz śledczych i powstrzymały wynurzenie się ohydnej zbrodni z otchłani błota rządów administracyjnych na kresach.

Natomiast sprawie o łapówki i przeniewierstwo dano rozgłos, jawność publiczną i względną surowość, aby choć w ten sposób uśpić czujność ludzi, bacznie pilnujących postępowania rządu i skrzętnie notujących wszelkie wykraczenia.

Zdawałaby się, że w warunkach powyższych, tacy panowie, jak Rajewskij i Beck będą potrzebowali poszukać adwokatów gdzieś w Wiatce ze szkoły Klingenberga, lub — przyjąć naznaczonych z urzędu.

Tak się jednak nie stało. Rajewskij sprowadził sobie specyalistę, Jana Maurycego Kamińskiego z Warszawy — a Beck pozyskał dla siebie pp. Bielizo (prawosławnego) i Zmaczyńskiego (Polaka). Tylko drobni kanceliści musieli się odwołać do prezesa izby i otrzymali obrońcę z urzędu, na czem wyszli też najlepiej.

Któż to jest p. Jan Maurycy Kamiński? Poznaliśmy go przed kilku laty w tej samej izbie sądowej podczas słynnej sprawy krożańskiej. Pamiętamy jego wymowę nieco teatralną i rozburzoną nadmiarem uczucia, pamiętamy, lecz jakże dziś nam to innem się wydaje. Jan Maurycy Kamiński znalazł się wówczas w otoczeniu, które go porwało swym prądem szlachetnym. Dziś zaś stał się sobą, a więc lichym i bezdusznym rzemieślnikiem, który za złotówkę gotów by raz oskarżać, a drugi -- bronić samego Chrystusa.

Jest to cyniczny najemnik, który nie wahał splugawić w oczach obcych społeczeństwa własnego, aby nie stracić ciągłości we właściwej dla siebie praktyce obrony łotrów wszelakich i łupieżców. Poznała go Warszawa ze sprawy Kiryczenki, poznało wreszcie Wilno ze sprawy Rajewskiego i Becka. A więc siwowłosy adwokat chlubę sobie czyni z tego, iż broni wyrzutków najwstrętniejszych?

Jakoż sam on to zaznaczył w swej mowie obrończej, powołując się na to, że w swej praktyce bronił już 37 urzędników policyjnych, a w ich liczbie — czterech policmajstrów. Należy mniemać, że z każdej z tych 37 spraw przyschło do Jana Maurycego Kamińskiego sporo cynizmu i nikczemności.

Posłuchajmy jego mowy. Snadź czując zupełny brak gruntu pod nogami, plecie on duby smalone o przeciążeniu pracą policmajstrów i w ten sposób rozgrzesza ich z *drobnych pomyłek;* a dalej, pragnąc pozyskać sędziów dla radcy stanu Rajewskiego, nie wahał się dla

analogii wspomnieć o Michale Aniole i Rafaelu, którzy *również* byli karani za sprzeniewierzenie.

Nie ulega wątpliwości, że Jan Maurycy Kamiński czuł swoją rolę nikczemną, gdyż już w swej mowie znaczył obawę, iż społeczeństwo potępi go za udział w sprawie tak brudnej i nikczemnej.

*Dura lex sed lex* — i on, jako obrońca musi się w tem błotku obracać, choć może i on wolałby kreślić wizerunek przeczystej dziewicy.

W słowach tych zdradził poniekąd sprawę swojego klienta, gdyż nie należało już tak mówić, skoro się jest zapłaconym za wszystko: za honor, za uczciwość, za wrażliwość etyczną, za łzy udane i wybuchy uczucia.

Bo zresztą w niczem nie dopomógł klientowi. Rajewski i Beck zostali zkazani na 12-letnie osiedlenie w gub. tomskiej z pozbawieniem wszelkich praw szczególnych, orderów i przywilejów.

Kancelistów uniewinniono. Ich obrońca, p. Tadeusz Wróblewski, doskonale wyzyskał sposobność i wykazywał, że ci marni biedacy w otoczeniu, w jakiem żyli, innymi być nie mogli. Tenże obrońca zakończył mowę złośliwym przycinkiem do p. Kamińskiego.

«Tak, sprawa to brudna i marna, nie mniej przeto nie szkodziłoby nam, spoglądając w oblicze Przeczystej Dziewicy, patronki uciśnionych i prześladowanych, nauczyć się jak bronić słabych i wydziedziczonych a nie występnych, gwałcicieli i łupieżców».

Ostatnie słowo obrońcy publiczność przyjęła rzęsistymi oklaskami a Jan Maurycy Kamiński?

Zapewne nie odczuł ich treści, bo on przecie nie uczuł obrazy, kiedy pewien młody adwokat w Wilnie umknął mu dłoni do uścisku, mówiąc:

«Nie znamy się, panie kochany, od sprawy Kiryczenki».

Wracając do przebiegu rozprawy, musimy z żalem zaznaczyć, że tajemnica śmierci Zana nie została nawet poruszoną.

Rajewski i Beck pojadą tedy na lat 12 do Tomska, co jednak nie wyklucza wypadku iż po upływie tego czasu, wrócą obaj na jakieś wybitne stanowiska.

*Litwin.*

# Z PARANY.

## II.

*Kolonia Lucena 8 lutego 1900.*

Stare i nowe osady. Wychodzcy zachodnio-pruscy, zachodnio-galicyjscy i poznańscy. Osadnictwo z Królestwa i wschodniej Galicyi. Stan gospodarstw. Wartość Parany, jako pola dla osadnictwa. Bogactwa naturalne Ziemia i jej urodzajność. Klimat Złe strony kraju i ich znaczenie dla osadnictwa polskiego.

Osady polskie w Paranie dzielą się na dwie kategorye: stare t. j. założone przed gorączką wychodźczą z Królestwa w 1890—91 r. i nowe, na które złożyło się masowe wychodztwo z Królestwa i późniejsze z Galicyi. Najstarsi osadnicy pochodzą w głównej masie z Prus Zachodnich, jak sami powiadają, »ode Gdańska«. Opuścili oni kraj ojczyst bezpośrednio po wojnie prusko-francuskiej a dla wielu niewątpliwie pobudką była chęć uniknięcia służby wojskowej, od której odstraszała świeżo skończona wojna. Wychodzca zachodnio-pruski owych czasów różnił się wielce od dzisiejszego tej prowincyi mieszkańca. Opuścił on kraj ojczysty w chwili, kiedy na *Kulturkampf* były dopiero projekty, a więc w przededniu rozpoczęcia owej zajadłej walki, zrazu religijnej, potem religijno - narodowej, a wreszcie czysto - narodowej, jak w chwili obecnej, kiedy duchowieństwo niemieckie w Prusiech idzie ręka w rękę z rządem. Nie przeszedł więc tego ognia, który dał masom narodową świadomość i zahartował je w spójnej obronie przeciw wrogom. Przyszedł on tu na hasła narodowe obojętny, z mową polską silnie skażoną wpływem niemczyzny, niemniej przeto położył poważny fundament pod osadnictwo polskie, zbyt bowiem górował kulturą nad otoczeniem brazylijskiem, by poddać się jego wpływowi, a religijność i nawyknienie do mowy ojczystej w kościele nakazały mu zacząć od dzieła zbiorowego, od zbudowania polskiego kościoła. Ci pierwsi osadnicy zachodnio - pruscy, a w mniejszej części poznańscy i ślązcy, opasali Kurytybę półkolem od północy, tworząc kolonie Abranches, Lamenha, Sao Ignacio (zwana »Ignac«), Orleans i t. d. W dziesięć blisko lat po nich, w okresie najsilniejszego ruchu wychodźczego w Europie (1881—83), kiedy ruch ten zaczął się budzić poważnie w zachodniej Galicyi, nadciągnęli do Parany wychodzcy z powiatów krosieńskiego, jasielskiego, tarnowskiego i in. (nie pierwsi wprawdzie, bo poprzedzeni przez pojedyńcze rodziny w latach dawniejszych), tworząc główną część założonej poprzednio wielkiej kolonii Thomas Coelho (2.000 dusz), Muricy, Rio Verde i in. Od tego czasu przybywały już tylko pojedyńcze rodziny lub drobniejsze partye z Galicyi i zaboru pruskiego, zwłaszcza z Ks. Poznańskiego, bądź

wezwane przez krewnych już tu osiadłych, bądź przypadkiem *), zabłądziwszy do Brazylii w drodze do Ameryki północnej.

Dopiero w r. 1890 popłynęła nowa, niebywała do owego czasu co do rozmiarów fala wychodztwa, przynosząc nowy do Parany żywioł — wychodzców »z Polski«, t. j. z Królestwa Polskiego, z którymi razem, jak się dopiero tu na miejscu przekonałem, przybyło sporo Poznańczyków, oraz trochę Podlasiaków z dzisiejszej gub. grodzieńskiej (pow. bielski przeważnie). Ci przybysze, których wielka część poszła do innych Stanów i między którymi było stosunkowo wielu rzemieślników i robotników miejskich, osiadających i tu przeważnie po miastach (Rio, S. Paulo, Santos, Porto Allegre, Kurytyba i in.), stworzyli w Paranie wielkie kolonie: Rio Claro, Lucenę, Mateusza (S. Matheus) i in. Przybyli po nich w r. 1895 i następnych wychodzcy z Galicyi, w głównej masie Rusini, osadzeni zostali na tyłach Luceny, Rio Claro, wreszcie zapełnili prawie wyłącznie najnowsze osady: Prudentopolis (czyli S. Joao de Capanema — największa bodaj z osad parańskich), Antonio Olyntho, Castelhano (czyli Santos Andrade) Jangadę i in.

Stare kolonie z przed r. 1890 różnią się ogromnie od nowych. Aczkolwiek założone na ziemi gorszej o wiele. bo położone bliżej Kurytyby, wokoło której w wielkim promieniu leżą najgorsze w Paranie grunty z przewagą gliny mocno czerwonej, skutkiem znacznego odsetku żelaza — mają one już wygląd całkiem porządnych gospodarstw. Ziemia, w znacznej części doskonale już wykarczowana, nadaje się do orki, na nowych koloniach nieznanej, i uprawiana jest na sposób więcej zbliżony do europejskiego. Wszyscy osadnicy mają już przyzwoite domy i zabudowania gospodarskie, krowy, konie (bardzo często po dwie i trzy pary), mocne wozy i t. d., wreszcie gotówkę, zaoszczędzoną w mniejszej lub większej ilości, przechowywaną nieraz jeszcze w dawnem cesarskiem złocie. Bardzo często główne ich dochody pochodzą nie bezpośrednio z roli, ale ze sprzedaży nabiału, jaj kur, prosiąt, drzewa opałowego do Kurytyby, z furmaństwa, rzemiosł, wreszcie z wyrobu cegły i wypalania wapna. Wychodzcy z zaboru pruskiego żyją na wyższą o wiele stopę od innych, ubierają się bardzo przyzwoicie, mieszkają lepiej, jedzą bardzo dobrze (codzień mięso, przeważnie kura lub wieprzowina, parę razy dziennie kawa z mlekiem i chleb z masłem lub smalcem), wreszcie od czasu do czasu wydają większe zabawy, na których występują suciej. Zato przybysze z Galicyi przy mniejszem wyrobieniu kulturalnem prędzej nieraz dochodzą do gotówki oraz większej

*) Przypadek taki zawsze miał źródło w niesumienności agentów i kompanii okrętowych.

ilości ziemi i inwentarza, bo żyją na niższą o wiele stopę i zarobki swe przeważnie oszczędzają. Jedni i drudzy są w tem wybornem położeniu, że wszystko mogą sprzedać za gotówkę, bo siedzą w pobliżu Kurytyby i mają do niej względnie dobre drogi kołowe.

Osadnicy z ostatniego dziesięciolecia mają grunty zwykle o wiele lepsze, ale zarówno oddalenie od Kurytyby i brak środków komunikacyi, jak krótki jeszcze czas pracy ich na tutejszym gruncie, sprawiają, że gospodarstwo i byt ich wogóle przedstawia się dotychczas dość pierwotnie. Potrosze wpływa na to i fakt, że sam charakter gorączki wychodzczej w r. 1890—91 sprawił, iż z Królestwa poszło do Brazylii sporo ludzi, szukających lepszego bytu bez wielkiej pracy, między którymi zdarzają się nawet całkiem zdecydowani próżniacy. Ztąd na wielu działkach (jak tu mówią »szakrach«) widać o wiele mniej roboty, niż jej można było przez dziewięć lat wykonać. Odnosi się to, ma się rozumieć, do części tylko kolonistów, bo naogół osadnik tutejszy wykonywa w ciągu roku o wiele więcej pracy, niż chłop na zagonie w Polsce. Jakkolwiek bądź jest gospodarstwo ich jeszcze w okresie początkującym, na roli leżą nadpalone lub niedopalone pnie z wyciętego lasu, co pozwala pracować na niej tylko motyką; wszędzie gospodaruje się przyjętym od Brazylijczyków systemem zapuszczania »ros«*), polegającym na tem, że jeden rok grunt się zasiewa, a na następne 3 lub 4 zostawia się ugorem, na którym szybko porastają krze i trzcina, potem się te zarośla wycina (służy do tego »fois«, narzędzie w rodzaju szerokiego sierpa na długim, jak u łopaty, trzonku), suszy się i pali, by zasiać na tem miejscu nanowo. Powszechna jest opinia, że inny system gospodarki jest tu niemożliwy, że inaczej ziemia tutejsza nie urodzi, co wydaje mi się wątpliwem choćby dlatego, że na starych koloniach, mających grunty gorsze, w wielu miejscach ten system zarzucono. W każdym razie przy tym systemie gospodarki ziemia bardzo mało wydaje, bo raz na 4—5 lat, a nadaje on osiedlonej ziemi wygląd bardzo dziki, bo przynajmniej $^{4}/_{5}$ jej pokrywa jeżeli nie las pierwotny, to gęste zarośla. Część osadników nie dorobiła się jeszcze krowy, konie większość ma tylko po jednemu pod wierzch, wozów nie mają, bo ich nie stać na nie, a przeważnie przy braku dróg kołowych są niemożliwe Płody ze swego pola osadnik wynosi na plecach lub wywozi na koniu do najbliższego sklepiku (»wenda«, jak tu mówią), gdzie, według ogólnego prawidła, nie dostaje za nie pieniędzy ale towar na wymianę. Ztąd ogólne a zrozumiałe skargi: »człowiek się napracuje, a grosza nigdy nie widzi«. Wielu mieszka jeszcze w nędznych budach, które dostali lub zbudowali sobie na początku, odziewają się licho i jedzą gorzej

*) Po portugalsku *roça*, polanka w lesie, wypalona pod uprawę.

o wiele od starych osadników. Częściej też spotkać można u nich wzgardzone przeważnie przez dawnych kolonistów brazylijskie specyały: »siarkę« i »farynię«, więcej jedzą »fiżonu«. Niemniej przeto żyją o wiele lepiej, niż nasz chłop w Polsce, i przyznają to chętnie. »W Polsce — powiadają — to człek kurkę wyniósł i sprzedał, a tu niema komu sprzedać, to się zje często gęsto» *). Najniższy jest stan gospodarki najnowszych przybyszów, Rusinów, o ile przybyli tu bez pieniędzy, co nie jest prawidłem ogólnem, bo wielu z nich przyjechało z pokaźnemi sumkami, za które zakupili sobie gotowe gospodarstwa, lub odrazu urządzili się, jak należy, na nowej dziewiczej ziemi. Od czasu do czasu słyszeć można zarówno śród pierwszej, jak drugiej kategoryi nowych przybyszów skargi na zawód, jaki ich tu spotkał, przyczem mówią, iż chętnieby wrócili do Europy, gdyby mieli za co, naogół jednak przyznają chętnie, że im tu lepiej, niż w Europie. Jeden mówi: »Więcej się tu człek napracuje, ale przynajmniej zje, jak się należy i głodu nie zazna«; inny »zawsze lepiej na swojem być, niż pod panem służyć« ; są wreszcie tacy, którym tutejsza wolność polityczna smakuje. Każdy przytem na coś się uskarża: jeden na to, »że tu rządu, ani porządku nijakiego niema, że na sądy brazylijskie nic liczyć nie można«; inny, że »tu ziemia nie ta. co w Europie, nie wyda tak, jak tamta« ; inny jeszcze, że »ludzie tu się strasznie rozpuścili«. Pomimo skłonności ogólnej nietylko ludu ale całego naszego narodu do narzekania, często można spotkać tu ludzi, którzy z dumą wskazują na swój obecny dostatek, chwaląc się słusznie, że z Europy bez grosza przyszli. Co prawda, zdarza się często charakterystyczne biadanie. »Oj, zjadł nas ten szakierek, zjadł, nawet krowę nam zjadł!...« — jęczy kobieta. Po bliższem badaniu poczynający już współczuć słuchacz dowiaduje się, że biedacy dokupili sobie właśnie trzeci »szakier« (t. j. trzecie 25 hektarów, taki bowiem jest wymiar szakra [1]). Jeszcze nieszczęśliwszymi pewnie czują się ci, co dokupili sobie obecnie piąty, ósmy, albo i dziesiąty »szakierek« — bo i takich jest już trochę.

Przyglądając się po kolei wszystkim kategoryom osad i różnym typom osadników, trzeba dojść do przekonania, że z małymi wyjątkami zyskali oni materyalnie sporo na przeniesieniu się tu z Europy. Nie znaczy to wszakże, ażeby Parana była ziemią obiecaną, mlekiem i miodem płynącą. Są lepsze ziemie na naszej planecie, choć Parana nie na-

---

*) Wogóle, jak Brazylijczycy »siarką«, tak Europejczycy żyją tu kurami wobec braku innego mięsa świeżego.

[1]) Normalny dział kolonisty ma ćwierć kilometra szerokości i kilometr długości, co czyni 25 hektarów.

leży do kategoryi najpodlejszych. A nie trzeba zapominać, że na bardzo kiepskich ziemiach wyrastały i żyły bardzo porządne ludy.

Tu warto pomówić o pewnem panującem u nas nieporozumieniu.

Ogół nasz, o ile się interesuje wychodztwem, gdy mowa o kraju. dokąd by je należało skierować, żąda, ażeby kraj ten przedstawiał się pod każdym względem niemal doskonale. Z drugiej strony ludzie, uważający Paranę za odpowiednie dla naszego osadnictwa pole, bardzo często opisują ją, jako kraj wyjątkowo piękny, we wszystko obfitujący. Ileż to razy słyszeliśmy o cudownym klimacie, pięknej przyrodzie, o niesłychanej urodzajności ziemi, o bogactwach naturalnych kraju, o drogich gatunkach drzew leśnych, nadających się do wywozu, o kryjących się pod powierzchnią ziemi pokładach użytecznych i szlachetnych kruszców, o rzekach »słynnych z łożyska swego pełnego brylantów (*sic*) i szmaragdów« i t. d., i t. d.!

Opisy te, w zestawieniu z poważniejszemi pracami o południowej Brazyli, jakich jest parę w literaturze europejskiej, budzą już pewne podejrzenia, i nie potrzeba jechać do Brazylii, żeby widzieć całe ich nieprawdobieństwo. Tem wyraźniej widzi się całą dziwaczność tego nieporozumienia i smutne jego strony, gdy się bada rzecz na miejscu.

O bogactwach mineralnych kraju mówić nie można, bo nikt ich nie zna naprawdę, a z tego, co dotychczas o nich wiemy, możnaby raczej wystawić mu świadectwo ubóstwa. Rozprawianie zaś o złocie i drogich kamieniach jest śmieszne wprost i karygodne. Śmieszne, bo z praktycznych względów nic nie znaczy, że gdzieś jest złoto lub dyamenty, idzie tylko o to, żeby były w ilości, opłacającej eksploatacyę. Złoto jest w całej niemal południowej Ameryce, ale to nie znaczy, żeby cała ta część świata była jedną wielką kopalnią szlachetnego kruszcu. Przeważnie jest ono w takiej ilości, że wszelka inna praca opłaca się lepiej, i tylko wtedy ludzie bawią się w wydobywanie go, gdy nie mają innego zajęcia. Próby poważnej eksploatacyi w Paranie dotychczas się nie powiodły, i nawet kompania, która przed 30 laty wydobywała dyamenty, w łożysku Tibagy, zawiesiła roboty z powodu małych dochodów, kamienie bowiem były zbyt drobne i w niewielkiej ilości. Rozsiewanie wiadomości o tych urojonych bogactwach zasługuje na potępienie, bo wprowadza w błąd i przyprawia o gorzki zawód naiwniejszych, którzy udają się do Parany by się łatwo wzbogacić — a takich niedoszłych kopaczów złota i dyamentów sporo tu spotkać można. Z drugiej strony niema tu gorszego i mniej dla osadnictwa użytecznego żywiołu, jak właśnie ci zawiedzeni poszukiwacze złota i dyamentów.

O wywozie drzewa z lasów tutejszych trudno mówić, Parana bowiem w lepsze gatunki nie obfituje tak, jak dorzecze Amazonki, wobec

tego zaś, iż rzeki tutejsze płyną od brzegu morskiego do wnętrza kraju i naogół nie są spławne, trzebaby je przewozić do portów drogiemi kolejami tutejszemi, co jedno uniemożliwiłoby współzawodnictwo z północną Brazylią, gdzie parowce wprost wpływają do Amazonki po ładunek.

O urodzajności ziemi tutejszej wypowiedzieć zdania stanowczego dotychczas nie można. Nie mamy na nią miary z wielu względów. Parana jest krajem podzwrotnikowym, (zwrotnik przechodzi przez północną jej część, niedaleko na południe od Paranapanemy, stanowiącej granicę kraju), ale dzięki wyniesieniu jej płaskowyża, dochodzącemu do 1000 metrów nad poziom morza, klimat jej jest bardzo umiarkowany: upały w lecie bywają niewiele większe, jak u nas w niektóre dni lipcowe, a w zimie bywają nawet słabe przymrozki. Otoczona jest ze wszystkich stron ziemiami cieplejszemi, bo niżej położonemi. Nadto ma znaczną ilość opadów, a raczej nierównomierny ich rozkład. Leżąc tedy pod zwrotnikiem, do kultur zwrotnikowych, zwłaszcza we wschodniej swej wyższej i dotychczas jedynie kolonizowanej części, z wyłączeniem pasa morskiego, nie nadaje się. Niema tu ani kawy*), ani trzciny cukrowej, ani bawełny. Kultur umiarkowanego klimatu nikt tu przed przyjściem europejskich osadników nie prowadził. Jedyne płody, dla których grunt tutejszy przez brazylijczyków został wypróbowany, — to »milija« (tutejsza kukurydza, »fiżon« (czarna fasola), mandioka, słodkie ziemniaki (bataty) i parę innych. Nasi osadnicy przejęli bardzo prędko łatwą uprawę tych roślin wraz z pierwotnym systemem palenia »ros«, a jednocześnie wprowadzili lub usiłowali wprowadzić nasze rośliny europejskie, przedewszystkiem zaś zboża. Czynili to z rozmaitym skutkiem, czasami świetnym, czasami zaś bardzo nędznym, a niepowodzenie najczęściej zawdzięczali nie samej ziemi, ale zbytniej ilości deszczów, niewłaściwej porze zasiewu, robactwu, ptactwu szkodliwemu i t. d. Ostatnie dwa lata, a zwłaszcza rok ostatni był tak dżdżysty, że najstarsi osadnicy podobnego nie pamiętają. Ztąd też najświeższe doświadczenia rolników są w wielu miejscach dość smutne. Ogólne zdanie jest, iż ziemia tutejsza, zwłaszcza w nowszych osadach, na żyto jest zaciężka, choć rodzi je jako tako. Dla tej samej przyczyny i dla zbytniej wilgoci z ziemniakami jest tu całkiem źle. Pszenica rodzi się w wielu miejscach świetnie, ale zjada ją ptactwo, czasami doszczętnie, również świetna jest gryka, ale tę znów pożerają mrówki. Naturalnie, można się spodziewać, że, gdy podniesie się kultura kraju, a z nią zmniejszy się ilość

*) Osadnicy nasi mają często swoją kawę, ale w tak złym gatunku, że do handlu się nie nadaje, i jedynie służy im na własny użytek.

szkodliwego ptactwa i robactwa, płody te wybornie udawać się będą, zwłaszcza jeżeli będą zasiewane nie takie małe, jak obecnie, kawałki, wystarczające w sam raz na parę uczt skrzydlatym i sześcionogim rabusiom, mającym w pobliżu siedlisko. Owies się nie rodzi, co do jęczmienia trudno jeszcze wyrokować. Gorsze jest, co powiadają, iż ziarno, zebrane tutaj, trzeba natychmiast zemleć, przy dłuższem bowiem przechowaniu gnije i jedzą je robaki. »Nie ma ono tej twardości, co nasze europejskie« — powiadają osadnicy. Najgorzej stoi sprawa owoców. Aklimatyzacya europejskich, dotychczas, co prawda, prowadzona na gorszych tylko gruntach pod Kurytybą, nie powodzi się. Oglądałem sad, wzorowo założony przez zamożnego Portugalczyka w okolicach Kurytyby, wszystkie drzewa mają wygląd chory, owoc, o ile jest, nosi znamiona zwyrodnienia. Pomarańcze są na płaskowyżu, ale o wiele gorsze, niż w ciepłym pasie nadbrzeżnym, rodzącym nadto najpospolitszy w tutejszym handlu owoc — banany. Widziałem w paru ogrodach figi, zdaje się, nie najgorsze. Najpospolitszym owocem i do hodowania najłatwiejszym (w dwa lata po wsadzeniu pestki w ziemię ma się już drzewko owocujące) są brzoskwinie. To też ma je każdy niemal kolonista, a nazywa je śliwkami lub »pyskami« (*peska*). Zrywane są wszakże w stanie niezupełnie dojrzałym, bo, dojrzewając, gniją od środka i robacznieją wreszcie stają się pastwą papug. Często też się spotyka t. zw. »amejsza« (*ameixa*). co znaczy po portugalsku śliwka, dlatego pewnie tak nazwana, że najbardziej zbliżona jest do gruszki. Drzewa to (*Photinia japonica*) pochodzi z Japonii, wybornie zaaklimatyzowało się tu i ma owoc przyjemnie kwaśny, choć niezbyt wykwintny. Wino spotyka się w dwóch odmianach, bardzo ordynarnych: rzadsza z zieloną jagodą, bardzo kwaśna, i częstsza czarna (zwana *isabella*), z dziwnym smakiem i zapachem, przypominającym nasze czarne jagody leśne i zachowującym się w trunku po przejściu fermentacyi. Truskawki są wodniste i niedość słodkie. Powszechnie jest uprawiany tytoń w odmianie też ordynarnej.

Pasza tutejsza jest w bardzo złym gatunku, twarda i mało pożywna, powszechne też jest zdanie, że rasowych krów na niej chować nie można, tutejsze zaś krowy dają mleka mało; mięso z wołów miejscowych jest twarde w porównaniu z europejskiem.

Dowodem, iż ziemia tutejsza nie jest ubogą, jest ogromnie bujna dzika roślinność (w głębi kraju, w lasach), śród której zresztą spotyka się wiele skarlałych roślin podzwrotnikowych, co zawdzięcza Parana swemu położeniu geograficznemu, z nieodpowiednim do niego klimatem, zbyt chłodnym na sąsiedztwo ze zwrotnikiem. Oczyszczony kawałek ziemi w parę tygodni bujnie porasta i nikt by się nie domyślił, że tak niedawno wszystko z niego wyrwano. Jeżeli zaś co do wielu płodów

umiarkowanego klimatu otrzymano wątpliwe rezultaty, to przyczyną przedewszystkiem jest wyjątkowość warunków klimatycznych, wynikających z położenia kraju: łagodność zimy tutejszej, długość lata, brak pór roku przejściowych — wiosny i jesieni, nierównomierny rozkład opadów, a nadewszystko ogromna nieprawidłowość w następstwie kolejnem zjawisk klimatycznych. Może mieć zresztą znaczenie i mniejsze ciśnienie atmosfery, skutkiem wielkiego wyniesienia nad poziom morza. i kierunek promieni słonecznych, (w lecie słońce jest prawie w zenicie) tego przesądzać nie można, bo nie mamy w tym względzie odpowiednich doświadczeń. Ważną okolicznością jest, iż próby aklimatyzacy roślin czynione są przez przybyszów, którzy się nie zżyli jeszcze z tutejszą przyrodą i tajemnic jej tak nie znają, jak zna swą przyrodę rolnik europejski. Po długich latach pracy nad tutejszą ziemią warunki się niewątpliwie ogromnie zmienią: wycięcie wielkich lasów przez nowych osadników wywoła pewnie niejakie zmiany klimatyczne, pra wdopodobnie przedewszystkiem zmniejszenie ilości opadów, a z drugie strony zmniejszy ogromnie ilość robactwa, tej największej plagi tutejszej, która w lasach głównie ma swe siedlisko; walka ze szkodliwem ptactwem będzie łatwiejsza, natomiast przy pewnym systemie może się powiększyć ilość ptactwa owadożerczego. Ważniejsze jeszcze jest to, że przez szereg doświadczeń wytworzy się ta samorodna klimatologia, historya naturalna i agronomia, którą posiada nasz rolnik europejski dla swego gruntu, a która u tutejszych osadników jest dopiero w zaczątku. Powoli dojdą ludzie do tego, że będą wiedzieli w jakiej porze i na jakim gruncie trzeba siać daną roślinę i jak z nią w tutejszych warunkach postępować. Wreszcie w walce aklimatyzowanych roślin uprawnych z tutejszą przyrodą wytworzą się niewątpliwie nowe odmiany, odporniejsze na działające tu wpływy ujemne*).

Przechodząc do estetycznej strony przyrody tutejszej, nie można odmówić jej pewnego uroku, ale trzeba się zgodzić, iż w części Parany, dotychczas zaludnionej, krajobraz dość jest jednostajny. Prawda, że od morza szereg piętrzących się gór na brzegu przedstawia widok wspaniały, że przy przecinaniu Serra do Mar imponują widoki górskie z nieznaną w naszych górach bujną roślinnością, nie pozwalającą często dojrzeć kawałka ziemi, że niezwykłym jest nagły kontrast przy przebywaniu działu wodnego, gdy z przyrody podzwrotnikowej wydostajemy się na płaszczyznę *campo* ze świadczącemi o jej odmiennym całkiem

*) Zresztą próby dotychczasowe robione były z natury rzeczy nieumiejętnie, bez planu. Powiodą się one pewnie lepiej, gdy będą do nich używane odmiany roślin, wytworzone w krajach bardziej zbliżonych do Parany pod względem warunków przyrodzonych, niż np. Polska.

klimacie grupami sosen tutejszych — araukaryi; ale zato później uprzykrza się ten step, jednostajnie poprzerzynany wywozami, podobnymi jeden do drugiego z postaci i z poszycia roślinnego, te pojedynczo lub grupkami strzelające w niebo »piniory» *) z baldaszkowatymi wierzchołkami, robiącymi wrażenie jakichś olbrzymich roślin bagiennych, drzewa pełne melancholii, w której cyprysy je tylko chyba przewyższają; smutny wygląd roślinności na uboższych ziemiach wschodniej części kraju powiększa ogromna ilość pasorzytów roślinnych, a przedewszystkiem porostów, zwieszających się, jak długie brody, i nadających drzewom wygląd chory i starczy. I dalej w głębi kraju, gdzie roślinność jest niesłychanie bujna i gdzie nikną prawie pasorzyty (widocznie drzewa na lepszych ziemiach mają dostateczną odporność), uderza swą jednostajnością konfiguracya powierzchni z powtarzającymi się wiecznie tymi samymi pagórkami i wązkiemi dolinkami. Co prawda, jedną z głównych przyczyn tej jednostajności jest brak siedzib ludzkich i dzieł ręki ludzkiej, które nasze europejskie krajobrazy ogromnie urozmaicają. Dopiero dalej, w głębi kraju, dotychczas niezaludnionej, znajduje się mnóstwo wspaniałych wodospadów, będących największą ozdobą tutejszej przyrody.

Co do klimatu, to temu odmówić nie można, iż jest istotnie bardzo przyjemny i zdrowy. Niewątpliwie, stoi on nieporównanie wyżej od naszego polskiego, przewyższając go przedewszystkiem łagodnością, brakiem ostrych a szkodliwych dla zdrowia wiatrów. Aczkolwiek pora gorąca jest tu bardzo długa, upały tutejsze mniej się czuć dają, niż nasze lipcowe. Zima wprawdzie jest dość przykra, bo daje się uczuć ogromna różnica temperatury między dniem a nocą, ale nie ma nigdy takich zimnych i słotnych dni, jakie u nas są częste w późnej jesieni i zimie. Najlepszem świadectwem dla klimatu tutejszego jest ogromnie mała śmiertelność, nawet śród dzieci, przy wielkiej liczbie urodzeń, choć osadnicy nasi nie odznaczają się ani dbałością o hygienę, ani umiejętnością pielęgnowania dzieci. Gdyby nie częste śmierci wypadkowe, czasem od ukąszenia żmii, czasem od pioruna, czasem w bójce, a najczęściej od padających drzew przy rąbaniu lasu **), śmiertelność byłaby jeszcze mniejsza, może o jakie 30—40%.

Z powyższego pobieżnego rzutu oka widzimy, że Parana nie jest ani najpiękniejszym, ani najlepszym kątem kuli ziemskiej, że pod względ-

---

*) Nazwa araukaryi (od portugalskiego *pinheiro* — sosna).

**) Na najlepszych gruntach, gdzie są gęste lasy, a drzewa poplątane lianami, cinanie ich przedstawia pewne niebezpieczeństwo. Trzeba podcinać odrazu cały szereg drzew, razem splątanych, a wtedy, przy waleniu się ich, człowiek, usuwając się z pod jednego, wpada często pod drugie.

dem rolniczym, dla wychodzcy naszego najważniejszym, nie przedstawia warunków idealnych.

Ale cóż ztąd wynika?..

Jest poprostu śmiesznem wymagać, ażeby po trzech wiekach kolonizacyi niezaludnionych obszarów przez ludy europejskie, kolonizacyi, prowadzonej bez naszego udziału — a o ileśmy w niej brali udział w ostatnich czasach, to tylko jako mała domieszka do innych żywiołów ażeby dla nas właśnie zostawiono pustym najlepszy kawałek powierzchni ziemi. Zresztą, czyż nasz lud ma takie rozkosze u siebie w Polsce, żeby dla swego osadnictwa raju ziemskiego potrzebował. Prawda, że w Paranie czeka każdego praca i to nie lekka, ale przynajmniej za tę pracę ma chleb i coś na dodatek do tego chleba, gdy tymczasem w europejskiej ojczyźnie, przy ciągłym a szybkim wzroście ludności i jej potrzeb, przy słabym stosnnkowo wzroście wytwórczości, a z nią i zarobków — część narodu niezawsze ma za pracę dosyć chleba, a jeszcze częściej nie ma dosyć pracy.

Zresztą, czyż można przypuszczać, że gdyby ta właśnie Parana była tak doskonałym krajem, jakim ją widzieć chcemy, że wtedy skupione osadnictwo polskie byłoby możliwe. Przecież nie tylko my mamy wychodztwo, mają je i inne narody i w znaczniejszej o wiele, jak dotychczas liczbie. Wszyscy zaś wychodzcy szukają możliwie najlepszych warunków. Czyż biedny, ciemny, zahukany, nie umiejący się organizować nasz chłop wytrzymałby współzawodnictwo i opanował kraj, do któregoby się tłoczyli inni?...

Jeżeli żywioł polski zwartą, choć dotychczas niezbyt liczną masą skupił się w Paranie, to więcej to zawdzięczamy złym, niż dobrym stronom tego kraju. Tylko dlatego, że tu są gęste lasy, z drzewem twardem, trudnem do wycinania, że siły żywiołowe, jak deszcze nie w porę, robactwo i ptactwo niszczą plon rolnika i zmniejszają korzyści z jego pracy, że brak spławnych rzek, dróg kołowych i niesłychanie wygórowane taryfy przewozowe kolei tutejszych *) utrudniają przewóz produktów rolnych, że ten wzgląd tamuje tu handel normalny i sprzyja istnieniu handlu wymiennego, bardzo niekorzystnego dla rolnika, że skutkiem tego osadnik w wielu miejscowościach cierpi na brak pieniędzy i nie może sobie pozwolić na wymagania bardziej kulturalne, tylko dlatego osadnicy innych narodowości ztąd uciekali, a nasz praco-

---

*) Koleje brazylijskie są budowane przeważnie w celu pobierania 7°/° od kapitału włożonego, zagwarantowanych przez rząd. Budowane więc są tak, żeby można było wyliczyć jak największy kapitał włożony, a taryfy mają wysokie, żeby nie było wielkiego ruchu, zmuszającego do zwiększenia taboru i wpływającego na zużycie istniejącego.

wity, przyzwyczajony w kraju do nędzy, chciwy na ziemię, umiejący byle czem się obywać, nie potrzebujący jeszcze na wieczór lampy do czytania gazety, chłop polski żyje tu i cieszy się, że mu lepiej niż w Europie. Później, gdy osadnictwo tu poważnie się rozwinie i zmieni wygląd kraju, gdy skutkiem tego warunki znacznie się poprawią, to i kultura i byt na wyższą stopę będą możliwe, a pewnie i konieczne. Ale wtedy osadnik polski może siedzieć już tak zwartą masą, że obce żywioły jej nie rozbiją.

*R. Dmowski (Skrzycki).*

## *SPRAWOZDANIA.*

*** *Mickiewicz i Puszkin oraz społeczeństwa polskie i rosyjskie* Kraków 1899 skład u Gebethnera i Ski. *J. Z. Idea przewodnia powstań polskich* Krak. 1900. **Jean d'Outremer.** *La Pologne et la paix generale.* Paris, Reinwald. Skł. gł. w ks. Krzyżanowskiego w Krokowie[1]).

Trzy wymienione broszury wchodzą w skład nowej seryi, poświęconej »zagadnieniom polityczno społecznym doby bieżącej w stosunku do Polski .« Pierwsza z nich napisana chwili, kiedy część naszej inteligencyi uznała za stosowne złożyć hołd poecie, który wygłosił przekonanie, że Rosya musi zgnieść chełpliwych Lachów, bo inaczej »morze rosyjskie wyschnie,« bynajmniej nie straciła na wartości i dzisiaj. Autor zadaje pytanie, jakim Rosyanom »możemy dłoń uścisnąć bez wstydu« i odpowiada, że Mickiewicz najlepszej udzielił nam pod tym względem wskazówki. Do rzędu »przyjaciół Moskali«, dla których miał gołębią prostotę i których szyje ściskał jak bratnie, zaliczył jedynie tych, co walczyli z caratem i poszli za to na szubienicę i katorgę. I do dziś dnia sprawa stoi tak samo. Słusznem i politycznem jest zbliżenie się do tych tylko Rosyan,, którzy »tę Rosyę urzędową potępiają, którzy zostają z nią w walce.« Wprawdzie i ci często nie rozumieją dokładnie sprawy polskiej i jej związku z kwestyją wolności w Rosyi, ale bądź cobądź są oni »naszymi naturalnymi (choć nie zawsze świadomymi) sprzymierzeńcami«, z drugiej zaś strony »jako ludzi zacni, mający odwagę przekonań i czynu, pragnący szczęścia i postępu swego narodu, zasługują na szacunek innych... Oświecenie ich i objaśnienie im historycznego posłannictwa Polski stanowi nasz obowiązek«.

Wychodzac z tej zasady, autor odmawia Puszkinowi prawa do naszych hołdów i wykazuje to rozbiorem jego życia i utworów. Byłoby bardzo pożądanem, żeby krytyczne uwagi autora o dziełach Puszkina i stworzonych przez niego typach znalazły jaknajwięcej czytelników śród młodzieży zaboru, rosyjskiego. Nie słyszy ona nic podobnego od nauczycieli którzy systematycznie jej wpajają kult literatury rosyjskiej i przyznać należy, wpajają z pewnem powodzeniem. Zwłaszcza na kresach Oneginy, Bohaterowie naszych czasów i Demony mają wśród naszych młodzieńców gorących wielbicieli, nie dostrzegających nicości moralnej tych typów w porównaniu z Konradem, Robakiem lub Grażyną.

---

[1]) O pierwszej z wymienionych broszur daliśmy w No. 8 r.z. krótką wzmiankę.

Nie możemy streszczać broszury, ograniczymy się więc tylko zaznaczeniem, że dużo w niej trafnych uwag o stosunkach polsko-rosyjskich, uwag przekonywujących i dla tych, co sceptycznie się zapatrują na »posłannictwo narodów« i nie lubią frazeologii mesyanistycznej. Oto co powiada np. o ugodowcach: »Dotąd obroną naszą przed wynarodowieniem był ten mur, którym odgrodziliśmy się od najazdu rosyjskiego w przerwach między walką orężną. Nie mogąc zburzyć muru, rząd rosyjski usiłuje rozebrać go po cegiełce, zdradliwie powołując do pomocy samych Polaków«. Słusznie też utrzymuje, że »bardzo mało jest wśród Rosyan takich, co rozumieją, że ideje, reprezentowane w tej walce przez dwa narody, mają niejednakową wartość ogólno-ludzką, że daleko nie obojętnem jest dla postępu i szczęścia ludzkości, która z nich zwycięży; że spór ten nie jest prostą kłótnią dwóch narodów o to, który z nich weźmie górę nad innym, lecz walką o to, co zwycięży: postęp, cywilizacya, i wolność, czy despotyzm i wstecznictwo, Europa czy Azya«.

Nie rozumiemy tylko, o co autorowi chodzi, gdy dodaje: »Nie powinniśmy się dziwić temu, skoro wśród Polaków znaleźli się ludzie, głoszący zasadę siły przed prawem, tłómaczący objawy szowinizmu i hakatyzmu tem, że jest naturalnym objawem« (str. 33). Uznanie czegoś za »objaw naturalny« nie jest przecież usprawiedliwieniem moralnem, jest tylko zrozumieniem, że objaw dany nie jest zjawiskiem przelotnem, wywołanem dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności, że przyczyny jego tkwią głębiej i że będziemy musieli liczyć się z nim w ciągu dłuższego czasu. Nieusprawiedliwionym pesymizmem byłoby jedynie przekonanie, że objawy te nie dadzą się nigdy usunąć że ludzkość nigdy nie wynajdzie na nie lekarstwa i nie zdoła zwalić tej przeszkody w drodze postępu.

Specyjalnie co do hakatyzmu, niedocenianie jego byłoby arcy zgubnem złudzeniem. Spotykamy się z nim zbyt często śród tych, których uważamy (i nie bezpodstawnie) ze swych naturalnych sprzymierzeńców: śród rewolucyjonistów do rosyjskich i socyal-demokratów niemieckich. Bezwątpienia, dążenia nasze do niepodległości uzasadnić możemy nie tylko potrzebami własnemi, ale zarazem interesami wolności Europy, na poparcie tej tezy powołać się możemy na zdanie najświatlejszych i najszlachetniejszych mężów Zachodu, przypomnieć wreszcie możemy, że »w chwilach podniesienia, w dobach czynu, gdy rozprasza się mgła reakcyi i odsłaniają się widnokręgi przyszłości ludy same domagają się niepodległości Polski«. Wszystko to daje najwyższą sankcyę moralną usiłowaniom naszym, poteguje nasze siły i nas samych we własnych oczach podnosi. Odczuwamy i dziś całą tego doniosłość, ale nie powtarzamy już z Mochnackim: »nas zapewne nie uratuje nawpół spruchniała i butwiejąca Europa, lecz ta Europa, której moc i dzielność coraz się zwiększa i pomnaża«. Szkoda pięknych marzeń młodzieńczych, ale mężowi nie przystoi bawić się w złudzenia. Nie pomogły nam gabinety, ale i ludy nie wiele nam dały prócz kwiatów, i teraz wiemy, że na własne tylko siły rachować możemy i że im sami potężniejsi będziemy, tem łatwiej usunąć się dadzą »naturalne objawy« hakatyzmu i tem rychlej na naszem terytoryum ludzkość pokona »naturalne« sprzeczności interesów, postępowi zawadzające.

Broszura p. J. Z p. t. »Idea przewodnia powstań polskich« rozwija obszerniej pogląd, sformułowany w pierwszej broszurze w słowach: »Dwie cechy charakteryzują stuletnie walki Polski o niepodległość. Jedną jest ta, że każda z rewolucyj naszych podnosi jakąś nową ideję postępową wieku, że sprawa

niepodległości Polski zawsze się łączy w nich ze sprawą ludzkości i postępu. Drugą jest ta, że wszystkie rewolucye nasze odbywały się pod hasłami braterstwa ludów«. »Każda z naszych rewolucyj, powiada p. J. Z., wcielała jakieś nowe hasła, nową ideję postępową, która zaczynała nurtować Europę. Każda niemal przynosiła jakiś nowy ideał przyszłej Polski, Polski mającej być przez nią odzyskaną. I odwrotnie każda nowa idea polityczna lub społeczna budziła ów duch rewolucyjny, który w Polsce naturalnie, koniecznie łączył się z żądaniem jej niepodległości, gdyż jedynie uzyskawszy niepodległość, można było odbudować Polskę według ideału postępowych patryotów« »Wszystkie nasze powstania o tyle były korzystne dla postępu sprawy narodowej, o tyle przybliżały chwilę zmartwychwstania Polski, o ile były rewolucyjnemi;« upadały, gdy się rewolucyi sprzeniewierzały i z obawy przewrotów wewnętrznych nie wyzyskiwały wszystkich środków walki.

W końcowym ustępie broszury autor zastanawia się nad przyczynami, powodującemi, że od ostatniego powstania minęło już 37 lat bez »żadnego objawu orężnego żywotności narodu polskiego«. Więzienia rosyjskie i miejsca wygnania świadczą najlepiej, że nie wyczerpała się gotowość do poświęceń i nie zagasł duch niezadowolenia; istotna przyczyna, zdaniem p. J. Z., polega na tem, że »wielka idea przyszłości nie przybrała jeszcze formy skończonej.« Ale dziś już można okreslić kierunek, w którym naród poprowadzi. »Gdy przyjdzie chwila dziejowa i Nowy Duch powieje nad narodem naszym — wtedy wstanie śpiący Lud-Olbrzym i z popiołów dawnej Polski stanowej i szlacheckiej, »Polski mieszczańskiej i indywidualistycznej zmartwychpowstanie wielka niezwyciężona, wolna — *Polska społeczna*«.(?)

Poruszona przez autora kwestja jest istotnie bardzo ciekawa. »Długą tę przerwę« zrozumiemy należycie dopiero wówczas, gdy będzie już poza nami, dziś już jednak powiedzieć możemy stanowczo, że przeżywany przez nas okres nie będzie dla sprawy narodowej stracony. Doświadczenie dziejowe nauczyło nas, że hasło rzucone oddziaływa jedynie na umysły przygotowane, jak poruszona struna znajduje oddźwięk tylko w strunach odpowiednio nastrojonych. Pracujemy właśnie nad nastrajaniem dusz, nad przygotowywaniem gruntu pod nową siejbę W r. 1831 Szaniecki wzywał sejm do zniesienia pańszczyzny i do uwłaszczenia chłopów, dowodząc, iż za pomocą tej uchwały »milion rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi i milionem niepodległych obywateli wzmocnimy reprezentacyę narodu«. Dziś właśnie nie dorywczo powziętemi uchwałami, ale zmudną pracą pozyskujemy miliony obywateli i przygotowujemy miliony nowych obrońców naszej ziemi.

Praca francuska p. Jana d'Outremer, drukowana pierwotnie w *L'Humanité Nouvelle*. napisana została z powodu konferencyi pokojowej w Hadze. Zaznacza ona wpływ rozbioru Polski na stosunki międzynarodowe i na postęp wewnętrzny państw najezdczych i wygłasza przekonanie, że pokój zapanować może między narodami wówczas tylko, gdy wszystkie krzywdy (a w tej liczbie i nasza) zostaną naprawione. Za podstawę takiej naprawy wziąść należy nie prawa historyczne, ale prawo każdej narodowości do życia. do niezależności politycznej, wyznaniowej, gospodarczej i umysłowej. Granice każdego narodu zakreśli sama jego świadomość, wyrażona w głosowaniu. Prawo międzynarodowe przyjąć winno zasadę, że »każda narodowość, mająca poczucie swej odrębności i dążąca do wytworzenia niepodległego państwa, ma do tego prawo święte i nieodwołalne, obowiązkiem zaś wszystkich innych

jest żądanie to popierać«. Wejście podobnej zasady w życie żadnej złej strony mieć nie może. Jeżeli wielkie państwa się rozpadną, nie będzie to żadną stratą, bo tylko wojna wymaga wielkich państw centralistycznych, drobne zaś rzeczypospolite są właśnie prawdziwemi szkołami wolności osobistej. Nadmierna atomizacya drobnych państewek, która mogłaby zgubnie oddziałać na postęp sztuk i cywilizacyi, może być tylko zjawiskiem przejściowem: Gdy znikną powody do nienawiści narodowych, korzyści związków łatwo doprowadzą do federacyj dobrowolnych. Autor sądzi, że grupy etniczne, które bądź to wskutek warunków historycznych, bądź też wskutek niezdolności przyrodzonej, nie wytworzyły dotąd kultury własnej, nie będą miały wiele przyczyn do pożądania niezależnego istnienia politycznego. Prawdopodobnie będą one wolały sojusz z grupami, z któremi wiążą je tradycye historyczne, cywilizacya wspólna i pokrewieństwo języka, obyczajów i religii, sojusz, oparty naturalnie na podstawie jaknajszerszej autonomii. »Takiem będzie prawdopodobnie uczucie rozmaitych grup etnicznych, tworzących Francyę; takiem jest życzenie (?) Litwinów, Ukraińców i Białorusinów, którzy dobrowolnie, od wieków połączeni z Polską, stwierdzili uznanie swe dla unii wspólną martyrologią«.

W dalszym ciągu wydawnictwa ukazać się mają: *Polska* i *Europa*, *Antysemityzm i patryotyzm* i *Czy Polacy powinni popierać neomaltuzyanizm?* Jakkolwiek w wielu punktach nie godzimy się z autorami, broszur, przedsięwzięcie ich witamy przyjaźnie. Nad poruszanemi kwestyjami zastanawiają się poważnie i myśli swe wypowiadają zupełnie szczerze, nie kierując się żadnymi ubocznymi albo partyjnymi widokami, a oświetlanie spraw naszych z różnych punktów widzenia na pożytek tylko ogółowi wyjść może.

*Maryan.*

---

## *KRONIKA.*

### Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

== W Łodzi żandarmi wykryli tajną drukarnię, podobno wskutek denuncyacyi. Aresztowano z tego powodu 5 robotników, jakąś kobietę i b. studenta prawnika. Chodzą pogłoski, że była to drukarnia *Robotnika*, co nie wydaje się nam prawdopodobnem.

== W Warszawie zabito szpiega Grzelczaka (niektóre dzienniki galicyjskie piszą Grzesiaka), z zawodu lakiernika. Korespondent *Słowa polskiego* wspomina o jakiemś zabiciu szpiega w związku z wykryciem tajnej drukarni w Łodzi, nie wiadomo jednak, czy ta wiadomość dotyczy Grzelczaka czy też innego szpiega.

== Z osób, aresztowanych w Warszawie w grudniu, wypuszczono już (za kaucyą) adwokata S. Leszczyńskiego, a następnie wiele innych, niemal wyłącznie kobiet. Natomiast w tych dniach, na pogrzebie studenta politechniki Żysłanowskiego aresztowano sporo studentów i robotników, którzy chcieli nieść wieńce i zaśpiewali podobno »Czerwony sztandar«.

== *Moskowskija Wiedomosti* skorzystały z podanej w piśmie naszem notatki o nieudatnych zabiegach ugodowców warszawskich w sprawie adresu, w którym, uznając prawowitość języka rosyjskiego we wszystkich czynnościach urzędowych, prosić chciano jedynie o pewne ulgi dla języka polskiego w korespondencyi przedsiębiorstw prywatnych. Organ p. Gringmutha uznał

ten wiernopoddańczy adres ugodowców za knowanie występne przeciw rządowi i nazwał przewódcą buntowniczej agitacyi margrabiego Wielopolskiego. Korespondent warszawski *Nowej Reformy* tak o tem „nieporozumieniu“ pisze:

„*Przegląd Wszechpolski* z którego p. Gringmunth zaczerpnął materyału do swego oskarzenia, nie zaniedbał — i dobrze uczynił — rzucić na margrabiego jaskrawego promienia, który go należycie w interesie prawdy oświetlił. Margrabia zaprzeczył i swej inicyatywy i swej wogóle działalności na tem i na podobnych do niego polach: on się do takich spraw nie miesza. *Moskowskija Wiedomosti*. nawiązując wątek swych myśli do listu hr. Wielopolskiego zażądały od niego, aby z takiem samem zaprzeczeniem, jakiem, zaszczycił organ wielkorosyjski, nie wahał się tez wyjechać i przed organ wszechpolski. Żądanie chyba słuszne; pan Gringmuth chce jedynie przekonać się, czy pan Wielopolski całą już gębą, czy tu tylko półgębkiem wypiera się najskromniejszego czynu którym mógłbym jeszcze od biedy dowieść, że jest nietylko wielkim łowczym dworu, ale i obywatelem kraju gubernii, powiatu wreszcie. P. Wielopolski — o ile tu wiadomo — dotychczas milczy.“

= Donoszą nam z Dąbrowy górniczej o licznych w ostatnich czasach aresztowaniach. Z fabryk Fitznera i Gampera w Sielcu i w Dąbrowie, z Huty Bankowej, z kopalni »Koszelew« i innych zabrano z górą 60 ludzi. Aresztowano również trzech uczniów szkoły sztygarów: Głazowskiego, Węgrowskiego i Gęborka. Tego ostatniego wywieziono do Piotrkowa zakutego w kajdany za to, że uderzył w twarz żandarma. który nie pozwolił matce pożegnać się z nim i odtrącił ją brutalnie. Nakoniec aresztowano sztygarów: Żółwińskiego, Rodziewicza i rysownika Przesmyckiego; dwóch ostatnich po tygodniu uwolniono.

= Pisma galicyjskie zamieściły korespondencyę z Warszawy, donoszącą o rewizyi w redakcyi *Strumienia*, z dodatkiem, że zabrano cały kosz wierszy »dekadenckich«, które nawet żandarmów w dobry humor wprawiły. Wiadomość okazała się od *a* do *z* fałszywą. Taki sposób dokuczania przeciwnikom literackim uznać trzeba za, co najmniej, niewłaściwy.

### Z ZABORU PRUSKIEGO.

= Dr. Stanisław Pilatowski z Chełmży musiał stawać 2. bm. przed sądym karnym w Toruniu i to z powodu następującego: we wrześniu r. z. wystawił świadectwo, że pewne dziewczę ze wsi zostało przez nauczyciela w szkole tak wysmagane, że skóra na ciele była poprzecinana, skutkiem czego dziewczę musiało się dłuższy czas leczyć. Lekarz dodał w świadectwie, że ślady tego pozostaną jeszcze na długi czas. Sąd orzekł, że dr. Pilatowski wystawił świadectwo częścią lekkomyślnie, częścią świadomie niezgodnie z prawdą, i skazał go na 2 miesiące więzienia. Prokurator wnosił o 6 miesięcy i natychmiastowe aresztowanie.

= W Poznaniu władza szkolna nakazała zamknąć najwyższą klasę szkoły żeńskiej panny Danyszówny. Klasa ta miała na celu przygotowywanie uczennic Polek do egzaminu na nauczycielki rządowe. Jednocześnie rozeszła się wiadomość, że w trzech wyższych prywatnych szkołach żeńskich w Poznaniu, w których kształcą się dziewczęta polskie, ma być zaprowadzony plan szkół elementarnych. Na pozór ta wiadomość nic złego nie zawiera,

w rzeczywistości jednak zaprowadzenie planu szkół elementarnych równa się zniesieniu nauki języka polskiego nietylko w klasach wyższych, ale i w niższych, do których uczęszczają siedmioletnie dzieci. Nauka języka polskiego, więcej, niż niedostateczna, zostanie tylko w klasach średnich. Taki stan rzeczy oddawna już panuje w szkołach ludowych.

═ Niedawno w parlamencie Rzeszy poruszono sprawę zmuszania świadków do zeznań w języku niemieckim i przedstawiciel rządu dowodził, że sądy ściśle badają okoliczności i karzą tylko tych, którzy demonstracyjnie po niemiecku mówić nie chcą. Wkrótce potem w Kartuzach zdarzył się fakt następujący: Józef Monikowski oświadczył na sądzie, że po niemiecku zeznawać nie może. Wówczas sędzia przeprowadził w ten sposób ścisłe badanie. *Was ist Mutter?* zapytał. — Matka. — *Was ist Vater.* — Ojciec — odpowiedział zapytany. Po takim egzaminie sędzia zapakował Manikowskiego na 24 godzin do kozy za odmowę świadczenia po niemiecku.

═ Wydawca *Gazety grudziądzkiej* p. Kulerski skazany został przez sąd ławniczy na 150 marek kary za to, że w pisemku pod tyt.: *Przyjaciel dziatwy*, dołączanem jako dodatek, zamieścił pieśń »Boże coś Polskę«. Sąd zawyrokował, że pieśń »może zaniepokoić Niemców«, którym pisemko dostało by się do rąk i że psuje pracę szkoły, której zadaniem jest wychowywanie dzieci na dobrych obywateli państwa pruskiego. Pieśń »Boże coś Polskę« niejednokrotnie w państwie pruskiem drukiem ogłaszano i raz tylko, w r. 1863 skazano za to księgarza Kamińskiego na 5 talarów kary.

═ Towarzystwo pomocy naukowej w Poznaniu wydało w r. 1899 na stypendya 59.403 marek. Z tego przypada na studentów w uniwersytetach 17.605, na techników 21.829, na uczniów gimnazyalnych 19.969 marek. Efekta wynoszą 683.742, fundusz żelazny 713.388 marek. Na walnem zebraniu zaznaczono, że należałoby dawać stypendya młodzieży, poświęcającej się studyom handlowym. Okazało się jednak, że chociaż dawniej takie stypendya dawano, ani jeden ze stypendyatów nie wrócił po ukończeniu nauk do kraju.

Oprócz Towarzystwa pomocy naukowej w Poznańskiem istnieje pod takąż nazwą instytucya w Prusiech Zachodnich. Na Śląsku są dwa, czy bodaj trzy towarzystwa mające, podobne cele — w Bytomiu, Wrocławiu, i zdaje się, w Opolu. Środki tych towarzystw są dosyć ograniczone.

═ W Ostrowie, w Poznańskiem aresztowano t. zw. starszego prymanera (ucznia najwyższej klasy gimnazyalnej) Rowińskiego i zabrano u niego kilka egzemplarzy broszury p. Leitgebera. Tegoż dnia Rowińskiego po przesłuchaniu uwolniono, natomiast policya chciała zaaresztować w Gryfii studenta W. Bolewskiego, który jednak niewiadomo dokąd wyjechał i w ten sposób uniknął uwięzienia. Aresztowania stoją podobno w związku ze sprawą p. Leitgebera i dotyczą pośrednio towarzystw uczącej się młodzieży w Niemczech.

═ Za przykładem Towarzystwa katolickiego w Ujściu poszło Towarzystwo czeladzi katolickiej w Toruniu i urządziło mieszane przedstawienie teatralne, polsko-niemieckie. *Gazeta toruńska*, pisząc o tem, wyjaśnia, że Towarzystwo czeladzi katolickiej w Toruniu założył ksiądz Polak, prezesami czynnymi byli także księża Polacy. »Ks. Deja, Polak, założył tu osobne towarzystwo dajczkatolickie, wykluczył z niego język polski zupełnie, prócz tego chodził do Towarzystwa czeladzi katolickiej z przemowami niemiec-

kiemi, które oddawna urządza teatry, śpiewy niemieckie patryotyczne, a nawet obchody niemiecko-narodowe, chociaż w tem Towarzystwie czeladzi katolickiej są sami rzemieślnicy Polacy, bo Niemcy chodzą do Towarzystwa dajczkatolickiego. Ks. Deja został już proboszczem i prawdopodobnie nie działa na własną rękę, lecz raczej jest wykonawcą zamysłów figur większych od siebie, które pracują nad wzmocnieniem katolickiej niemczyzny w Prusiech Zachodnich.

»Dajczkatolickiem towarzystwem zajmują się nietylko miejscowi księża Niemcy' ale także księża Polacy, którzy o polskie towarzystwa mało, albo wcale się nie troszczą. Księża Polacy nie śmią też chodzić do obcych parafii z odczytami polskimi, a gdy to uczynił pewien lokalny wikary, zaraz został przesiedlony. Ks. Deja zaś, który jest teraz proboszczem w Czarnowie, zjeżdża stamtąd swobodnie na każde posiedzenie Tow. dajczkatolickiego do Torunia«.

Wogóle — pisze *Gazeta toruńska* — towarzystwa i teatry polskie doznają w Prusach Zach. coraz większego prześladowania ze strony księży Niemców i sprusaczonych księży Polaków. Świeżo donoszą jej, że w Świeciu pewien ksiądz Niemiec w kościele w niesłychanie nieumiarkowanych słowach uderzył na tych, którzy się zajmują urządzaniem polskich przedstawień.

== Dowódzca korpusu poznańskiego, generał Stülpnagel wydał rozporządzenie, w którem przypomina rozkaz gabinetowy, wydany po r. 1870, zabraniający podoficerom i żołnierzom załogi poznańskiej zawierania małżeństw z Polkami katoliczkami. Jednocześnie p. generał zaznacza, że wojskowi nie mogą brać żon z rodzin, których członkowie wyznają przekonania socyalistyczne. Pisma polskie przyjęły rozporządzenie p. Stülpnagla z prawdziwem zadowoleniem.

### Z GALICYI.

== Dzienniki zaznaczają ciekawe rezultaty rozpasanej agitacyi wyborcze ks. Stojałowskiego w powiecie bocheńskim. Pomysłowy prałat obiecywał chłopom podział pomiędzy nich nietylko puszczy niepołomickiej, ale i lasów pańskich, tak przynajmniej większość wyborców jego niejasne przyrzeczenia rozumiała.

Włościanie z gminy Kopalin i Kurowa na drugi dzień po wyborach wpadli do lasu kopalińskiego i zaczęli ścinać drzewa, twierdząc, że ks. Stojałowski oddał im las w posiadanie. Leśniczego, który bronił wstępu, śmiertelnie poranili, połamali mu bowiem ręce i nogi. Przy tej operacyi, jak donosi *Głos narodu*, skradli leśniczemu 150 zlr. Następnego dnia podpalono oranżeryę dworską w Kopalinach, a jeden z gospodarzy kupił sobie strzelbę i odgrażał się, że wystrzela dziedziców i sługi dworską. Leśnicy wystraszeni podziękowali wszyscy za służbę. Dodać trzeba, że właścicielem Kopalin jest p. Meyzner, członek stronnictwa ludowego, wybrany do Rady powiatowej z kuryi włościańskiej i dotychczas przez lud poważany.

W Bochni na targu włościanie zbili policyantów bez słusznego powodu i odgrażali się zuchwale.

Gdzieindziej znowu agenci Stojałowskiego głoszą, że »przyjdzie Moskal« i wszystk m, którzy za księdzem prałatem idą, będzie po trzy morgi gruntu z obszarów dworskich rozdawał.

Mieszkańcy gminy Łomny w nocy po wyborach wyrąbali las gminy, twierdząc, że niezadługo inne lasy przyjdą na ich własność.

= Podczas ostatnich wyborów we Lwowie, profesor politechniki pan Thullie wystąpił w roli agitatora politycznego. Zachowanie się jego było, najgrzeczniej mówiąc, niewłaściwem. Wprawdzie ogłoszony w pismach list jego, w którym jest mowa o pieniądzach, potrzebnych na agitacyę za prof. Piętakiem, nie wykracza przeciw powszechnie praktykowanej — niestety, bardzo nizkiej — moralności politycznej, bo wszystkie stronnictwa, nie wyłączając socyalistów, płacą agitatorom, w liście zaś nie ma dowodu, że chodziło o kupowanie głosów. Okazało się jednak, że p. Thullie, nie poprzestał na agitowaniu, ale jako członek komisyi wyborczej zapisywał sobie nazwiska ludzi, głosujących za Daszyńskim. Takie postępowanie jest karygodnem i nikt nie uwierzy, że w danym wypadku zapisywanie nazwisk było niewinną zabawką.

Część studentów politechniki postanowiła zaprotestować przeciw postępowaniu profesora. Zebrało się ich z górą 200, z których kilkudziesięciu weszło do sali gdzie wykładał p. Thullie i zaczęło gwizdać. Jak zwykle w tego rodzaju awanturach bywa, manifestacya przybrała charakter ostrzejszy, niż zamierzano jej nadać: zaczęto rzucać kaloszami, łamać krzesła, tablicę i t. d.

Rektor prof. Niementowski odwołał się do honoru i uczciwości uczestników manifestacyi, wzywając tych, którzy w niej udział brali, żeby podali swoje nazwiska i zagroził, że jeżeli tego nie uczynią, politechnika będzie zamknięta.

Jakkolwiek w podobnych wypadkach gdzieindziej, np. w Warszawie manifestanci, nawet nie wzywani, podają swoje nazwiska, chociaż grożą im tam surowsze, niż grozić mogą w Galicyi kary — technicy lwowscy postąpili inaczej, mianowicie, gdy im nie pozwolono urządzić wiecu, na którym chcieli naradzić się nad dalszą taktyką w tej sprawie, postanowili nie odpowiadać wcale na wezwanie. Nie wiemy, co wpłynęło na to postanowienie, czy obawa surowej kary, czy też raczej inne, nieznane nam względy, bo trudno przypuścić, żeby władza mogła wydalić przeszło 200 czy nawet blizko 300 uczestników manifestacyi, a nie chcemy ubliżać młodzieży posądzeniem, że mogli się wśród niej znaleźć tacy, którzy zaparli by się udziału. W każdym razie ta rozsądna przezorność manifestantów nie bardzo licuje z ich poprzedniem, tak gorącem, że aż może w zbyt brutalnej formie wyrażonem, oburzeniem.

Rektor zamknął politechnikę, czego podobno nie miał prawa zrobić, bo to należy do kompetencyi ministra, który, jak zapewnia *Słowo polskie*, nakazał niezwłocznie otworzyć szkołę i później dopiero, żeby nie kompromitować władz miejscowych, załatwiono sprawę w tem sposób, że w Wiedniu zatwierdzono nie zamknięcie politechniki, ale czasowe zawieszenie wykładów. Obecnie więc mówi się oficyalnie, że rektor zawiesił wykłady, a minister zatwierdził to rozporządzenie. Podobno namiestnik wyjechał w tej sprawie do Wiednia. Politechnika dotychczas jest zamkniętą, czyli inaczej — wykłady są zawieszone, p. Thullie zaś ma otrzymać urlop, zapewne dla podreperowania zdrowia, nadwątlonego nieodłącznemi od agitacyi politycznej przykrościami.

= Korespondent krakowski *Ruchu katolickiego* oskarża prof. Lutosławskiego, że pod pozorem seminaryów prywatnych organizuje jakieś kółka ze swych słuchaczy i bierze od nich przysięgę zachowywania tego, co usłyszą, w tajemnicy. Ciekawa rzecz, zkąd korespondent wie, o czem na owych posiedzeniach mówią, skoro uczestnicy ich zobowiązali się do milczenia? Bo chyba taki informator, któryby »przysięgę« złamał, nie zasługuje na wiarę, a z innego źródła korespondent wiadomości mieć nie może, przypuszczamy więc, że wyssał ją, jak to mówią, z palca.

= Korespondent warszawski *Nowej Reformy* donosi, że zdaje się sam Rackowski, naczelnik *Ochrany*, nowej tajnej policyi w Warszawie, o którym w numerze pisaliśmy — bawił w lecie we Lwowie i w Krakowie i kręcił się w kołach radykalnej młodzieży pod nazwiskiem Stanisława Obrąpalskiego. Istotnie słyszeliśmy w lecie o bytności we Lwowie niejakiego Obrąpalskiego, rzekomo obywatela z gubernii mohylowskiej czy witebskiej który w podejrzany sposób zaznajamiał się z młodzieżą, następnie wkręcił się do redakcyi *Gazety handlowo-geograficznej* i złożył tam kilkadziesiąt rubli na nagrodę za napisanie broszurki, wyjaśniającej w duchu patryotycznym sprawę uwłaszczenia włościan w zaborze rosyjskim. Ów p. Obrąpalski, gdy mu ktoś zaproponował, żeby się zgłosił do redakcyi *Przeglądu wszechpolskiego*, niby się na to zgodził, ale nie zjawił się wcale, przeczuwając zapewne, że łatwo poznalibyśmy, z kim mamy do czynienia.

## Z KRESÓW.

= Pisaliśmy już o tem, że w sprawozdaniu urzędowem ze stanu szkolnictwa w Czerniowcach nie podano w r. b dzieci polskich w osobnej rubryce, ale zaliczono je do kategoryi »innych«. Tymczasem liczba dzieci polskich jest tam wcale znaczną, wynosi bowiem 1 227, czyli blisko 15% ogółu uczniów Z ogólnej liczby 8 487 przypada na dzieci rumuńskie 1.337, ruskie 1.622 i niemieckie 4.278. W tej liczbie blisko $^2/_3$, bo 2.719 przypada na dzieci żydowskie. Tylko 2 dzieci żydowskich podano w rubryce narodowości polskiej.

## Z WYCHODZTWA I KOLONII

= W Sztokholmie 11 b. m. zmarł Henryk Bukowski, który w wychodźctwie polskiem wybitne zajmował stanowisko jako gorliwy i serdeczny opiekun uczącej się za granicą młodzieży i hojny ofiarodawca na cele narodowe, zwłaszcza na Muzeum w Rapperswylu. Z wykształcenia prawnik, Bukowski osiedliwszy się po 1863 r. w Sztokholmie, oddał się zawodowi, do do którego czuł szczególne zamiłowanie — mianowicie archeologii Był kupcem, ale zarazem uczonym kolektorem.

Dosyć powiedzieć, że w ciągu niespełna 30 lat wydał 127 katalogów mających poważne znaczenie bibliograficzne. W Szwecyi oceniono znaczenie jego pracy, to też otoczono go szacunkiem powszechnym.

Głównym jednak przedmiotem poszukiwań Bukowskiego były rzeczy polskie i tych nigdy, nikomu nie zbywając, obdarowywał niemi muzea i biblioteki.

Dorobiwszy się znacznego majątku. Bukowski spore stosunkowo sumy wydawał na zapomogi dla kształcącej się młodzieży polskiej. Zasilał również nietylko zbiorami ale i pieniędzmi Muzeum w Rapperswylu i wpływem swym

pozyskał dla tej instytucyi duże zapisy Można śmiało powiedzieć, że Bukowski zapewnił byt tej instytucyi i zgon jego jest dla niej stratą ogromną, na razie przynajmniej, niepowetowaną.

Człowiek serdeczny, prawy, jak dziecko czysty i naiwny, patryota gorący i w wierze swej niezachwiany, Bukowski nie był politykiem. Łatwowierność jego i uczciwość wyzyskiwali nieraz różnego rodzaju spekulanci, zarówno w sprawach osobistych jak i publicznych. Jeżeli się czasem w sądach swoich i postępowaniu mylił, to działał zawsze w dobrej wierze i z dobrą wolą, w zgodzie ze swem sumieniem Na postać Bukowskiego jasną i czystą, opromienioną świętą miłością sprawy narodowej, nie padnie żaden cień w pamięci tych, którzy go znali, lub, nie znając osobiście, o działalności jego wiedzieli.

== Od Wydziału »Związku wychodztwa polskiego« otrzymaliśmy z prośbą o umieszczenie następujący komunikat:

W d. 24-tym grudnia r. z. odbył się w Paryżu zjazd delegatów od towarzystw i grup związkowych, na którym było obecnych pięciu delegatów od grup, oraz wszyscy członkowie ustępującego Wydziału.

Na zjeździe zapadły następujące rezolucye i uchwały:

*Rezolucya.* Zważywszy, że Wychodztwo w pracach swych politycznych przedewszystkiem ma na celu dopomaganie rodakom. walczącym w kraju o prawa narodu naszego i, biorąc pod uwagę, że zasady, program działania i dotychczasowe usiłowania »Stronnictwa Narodowo - Demokratycznego« najlepiej odpowiadają potrzebom chwili obecnej, — Związek Wych. Pol. oświadcza. że w działaniu i pracach swych zostawać będzie w ścisłej łączności ze Stronnictwem Nar.-Dem.

Jednocześnie Związek Wych. Pol. zaznacza wspólność dążeń i łączność w pracach ze Związkiem Narodowym Polskim w Stanach Zjedn. Półn. Ameryki.

*Uchwała I.* Wniosek Związku Polskiego w Szwajcaryi o zmianie § 29-go »Statutu Związku W. P.«. a względnie §. 21-go »Ustawy Skarbu Nar. Pol » (w ten sposób: »z otwarciem kwestyi rozporządzania funduszami Skarbu, Komisya Nadzorcza pełni funkcyę mężów politycznego zaufania i t. d.« zmienić na: »z otwarciem kwestyi rozporządzania funduszami Skarbu, Komisya Nadzorcza wraz z Wydziałem Związku Wych. Pol. pełni funkcyę mężów politycznego zaufania i t. d.«) — zostaje odrzucony wszystkiemi głosami oprócz dwóch (t. j. wnioskodawców).

II. Na zapytanie kilku grup związkowych, zjazd podaje do wiadomości, iż dwutygodnik *Głos Wolny*, wychodzący w Paryżu, nie jest organem Związku.

III. Poleca się przyszłemu Wydziałowi założenie własnego organu lub umieszczanie w jednem z istniejących czasopism wiadomości stałych o Związku i Skarbie Nar.

IV. Poleca się przyszłemu Wydziałowi usilną agitacyę na rzecz Skarbu Nar. (mianowanie poborców, wydawanie list i kwitaryuszów, zaprowadzenie skarbonek i t. d ).

V. Wniosek grupy paryskiej o zebraniu i ogłoszeniu drukiem szczegółowych danych, tyczących się skonfiskowania przez rządy zaborcze dóbr narodowych i majątku prywatnego (od czasu pierwszego rozbioru do chwili bieżącej) — przekazuje się przyszłemu Wydziałowi.

VI. Wniosek grupy z St. Etienne o urządzenie »dnia polskiego« na wystawie paryskiej — przekazuje się do rozpatrzenia grupie paryskiej.

VII. Zjazd usilnie poleca grupom i członkom związkowym prenumerowanie tajnego organu *Pochodnia*, wychodzącego w Warszawie i *Polaka* — w Krakowie (za pośrednictwem Wydziału).

VIII. Na wniosek delegata od grup genewskiej i zuryskiej, Zjazd jednomyślnie powołuje dotychczasowych członków Wydziału do sprawowania nadal, w ciągu lat dwu, tego urzędu (t. j. ob. ob.: L. Dygata, W. Gasztowtta, E. Korytko, S. Kośmińskiego i B. Rubacha).

* * *

»Podając powyższe do wiadomości Waszej, oraz zawiadamiając ogół Związkowych o objęciu przez nas urzędowania, zwracamy się do Was, Sz. Obywatele, z wezwaniem, byście pracą swą zbiorową dopomagali nam do osiągnięcia ścisłego połączenia się wychodźtwa całego pod hasłem: walczących rodaków — wspierać, wroga osłabiać, posiadanego nie tracić, wciąż nowe zdobywać,..

»W chwili, kiedy to piszemy, organizacya narodowa, od lat kilkunastu dzielnie walcząca w zaborze rosyjskim, zdobywszy siłę należytą, jawnie dziś nawołuje wszystkich rodaków do pracy, otwarcie wypowiada walkę wrogowi przez wydanie odezwy »Komitetu Ligi Narodowej« z d. 8-go grudnia 1899 r.

»Chwila więc to przełomowa. Dziś więcej, niż kiedykolwiek sił wytężać, silniej się szeregować nam należy przeciw wrogom, energiczniej przeciwdziałać szkodliwej robocie ugodowców i zabiegom wszelkiego rodzaju gasicieli ducha narodowego.

Obywatele, wobec usilnej pracy rodaków w kraju, wobec ich dzielnej obrony, ich walki 14-letniej, okupionej tyloma już ofiarami i domagającej się wciąż nowych, a z drugiej strony wobec tej konsekwentnej polityki dwu rządów zaborczych, wyraźnie dążących do zagłady polskości, wytężajmy swe siły! niech żadna jednostka na wychodztwie mogąca być dla pracy narodowej zużytkowaną, nie będzie pominięta, — zwiększajmy szeregi organizacyi naszej, agitujmy wśród rodaków czasowo nawet przebywających pośród nas, Organizacya silna — to twierdza narodowości naszej!

Pamiętajmy o Skarbie Narodowym! Agitujmy usilnie na rzecz tej instytucyi,» bo bez środków materyalnych — walka jest niemożliwą«.

## *SKŁADKI.*

Od księży dekakatu . . . wskiego w Królestwie (z wyjątkiem jednego) 13 rs; z Podlasia, »z puszki Sokoła« 22 rs. przeznaczone na Skarb Narodowy odesłaliśmy do Rapperswylu.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr. Tadeusz Dwernicki. Z drukarni W. A Szyjkowskiego